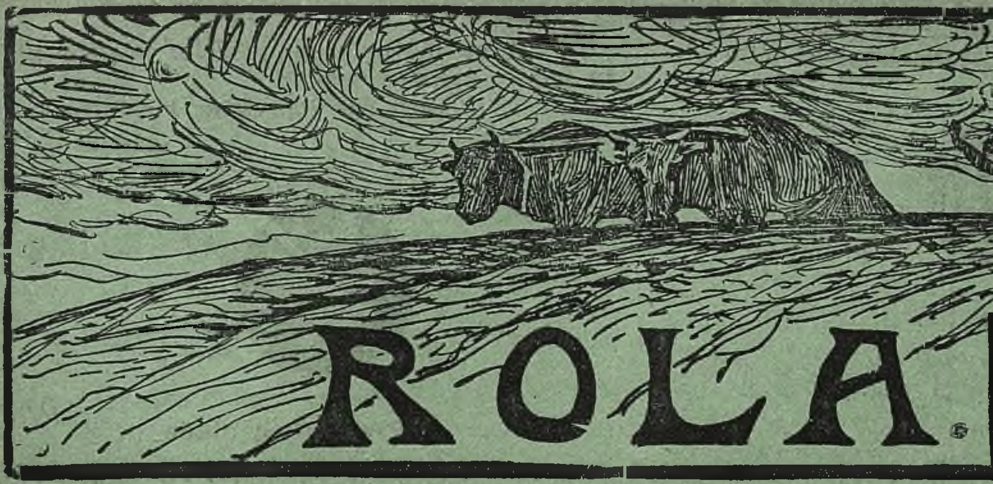
Numer 7 | Nał. poczt. opł. rycz. | Dnia 13 Lutego 1927.



# ROLA

KRAKÓW,
ulica św. Tomasza
32.

ILUSTROWANY BEZPARTYJNY TYGODNIK KU POUCZENIU I ROZRYWCE



Przy przesyłaniu prenumeraty przekazami pocztowymi prosimy adresować nie do Administracji „Roli“ lecz: **Konto pocztowe 406.301 Kraków.**

### Monolog pijanego.

...Z pewnością pierwszy grzech popełniła kobieta, chodziło bowiem o to aby zjeść; gdyby grzech pierworodny popełnił mężczyzna to chodziłoby o to aby wypić.



### Praktyczna.

Wiesz żonusiu, ciesz się duszko
Już nie będę chodził w wełnie,
Raz na zawsze utraciłem
Reumatyzm mój zupełnie.
Co? straciłeś reumatyzm
Co za szkoda, jaka szkoda!
Z czego teraz się dowiemy
Czy deszcz będzie czy pogoda.



### Spekulant.

— Maciek, gałganie, czegoś sobie nie naostrzył kosy w chałpie?

— Abo ja głupi? Jak kosa tępa, to ją ciągle ostrzę, to nie koszę. Zawdy to moja spekulacja.

### Przezorna.

— Proszę pana japtykarza za 50 groszy maści od pobicia.

— A na cóż to wam, przecież nigdzie nie macie żadnego skaleczenia.

— Tak, widzi pan japtykarz, ale jutro jedziewa na jarmark.



### Prawdziwa bieda.

— Już po raz trzeci jesteście żonaty?

— Cóż robić! Na świecie jedno nieszczęście nigdy nie przychodzi, zawsze za niem idzie drugie i trzecie.



### W szpitalu.

— Czy chory dostał już proszek na sen?
— Jeszcze nie.
— Dlaczego?
— Bo śpi.
— Głupstwo! Obudzić go i dać mu.



## Komunikat Zw. Zaw. Rolników.

1) Powiatowe Związki, a tam gdzie niema powiatowych, Okręgowe Związki, potrzebujące jakichkolwiek druków w szczególności legitymacyj członkowskich mogą się zwrócić po takowe do Krajowego Zw. Z. R.

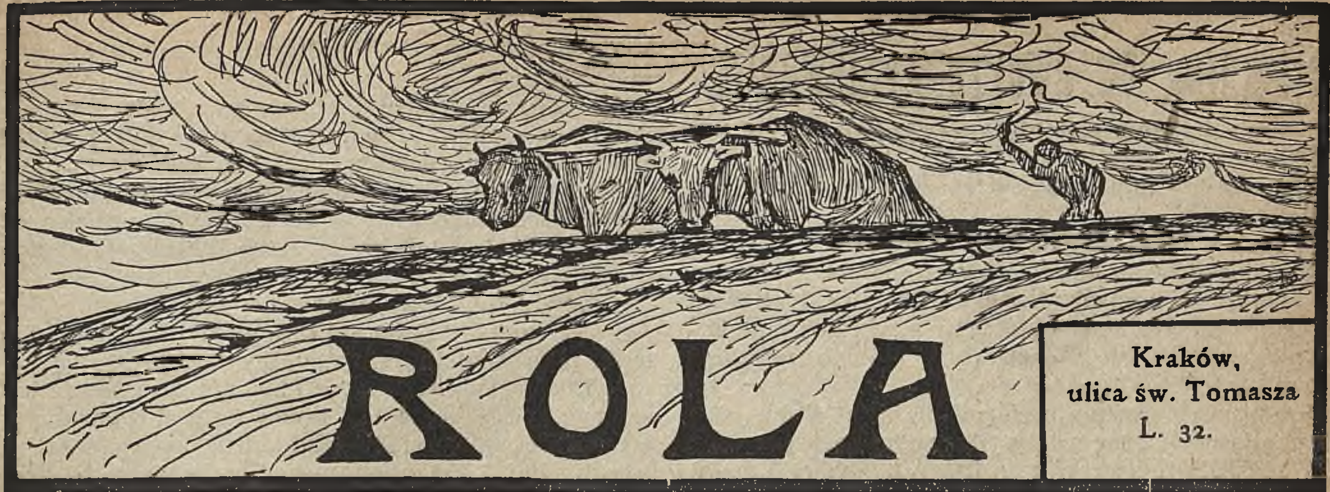
2) W Związku Okr. Z. R. w Gogolowie ost. p. Frysztak są do nabycia 3 zagony ziemniaków do sadzenia.

3) W Związku Okr. Odrowąż ost. p. Czarny Dunajec są do nabycia płótna b. silne samodziały.

4) Ze względu na trudności zakupienia w tym roku większej ilości koniczu w jednym źródle — niech poszczególne Zw. powiatowe szukają same odpowiedniego źródła przedewszystkiem w powiatowych spółdzielniach lub składnicach; o kredyt na zakupno zgłaszać się dp Kraj. Zw. Z. Roln. Gdyby w międzyczasie znalazło się tanie źródło podamy je w „Roli“ do wiadomości Związków.

*Tadeusz Łubieński.*

Numer 7. Rok X. Kraków, dnia 13 Lutego 1927.




Kraków,
ulica św. Tomasza
L. 32.

ILUSTROWANY BEZPARTYJNY TYGODNIK KU POUCZENIU I ROZRYWCE.

**Prenumerata** na rok 1927: Rocznie 12 zł, półrocznie 6·50 zł, kwartalnie 3·40; do Ameryki 2 i pół dolara rocznie; do Czechosłowacji rocznie 50 kor. cz., półrocznie 27 kor. cz., kwart. 15 kor. cz. — Numer pojedynczy we wszystkich agencjach i w Administracji „Roli" 30 gr. Ogłoszenia zwykłe 20 groszy za jeden wiersz milimetrowy jednoszpaltowy (9 cm.), ogłoszenia zamiejscowe o 20 proc. droższe. — Adres na listy do Redakcji i Administracji: **Kraków, św. Tomasza 32.**

# Zła i dobra nauka.

Ze wszystkich stron dziś słychać wołanie: oświaty, oświaty dla ludu! I słusznie, bo nauka daje nam zadowolenie, a nawet szczęście. Ona to jest tem prawdziwem światłem, które rozjaśnia umysł i duszę, ona pozwala z pracy wydobyć jaknajwięcej pożytku. Ale niestety — jakże często źle rozumiemy cel nauki, jak często przynosi nam ona na wieś, zamiast polepszenia doli i uszlachetnienia — zarazę i zgubę.

Inne to były czasy dawniej, a inne o! wiele inne są teraz, ale przecież nie wszystko, co nowe to dobre i nie wszystko można ślepo przyjmować.

Weźmyż kij wędrowca do ręki i chodźmy po tej cudnej polskiej ziemi od chatki do chatki, odwiedźmy tych, pod których strzechę zaglądały promienie oświaty. — Oto dom Marcina Kobieli. Syn jego uczył się na stolarza w mieście, wrócił do domu już temu ze trzy miesiące — tu pewno dużo usłyszymy ciekawych nowości i ujrzymy wiele pięknych rzeczy. Lecz cóż to? W izbie sam stary Marcin siedzi smutny i zgarbiony, po twarzy zoranej troską i długoletnią pracą spływa cicha, błyszcząca łza. Wrócił Jasiek jedynak z miasta, ale jakiś inny, odmieniony. Nauczył się stolarki, ale robić mu się nie chce, bo — powiada — i inni nic nie robią, a wszystkiego mają wbród. Zamówień ma we wsi wiele, bo chłopak w rękach zgrabny, ale robota leży w kącie nie wykończona, a Jasiek poszedł do sąsiada. Ośm godzin pracowałem — mówi — a teraz idę się zabawić. W niedzielę do kościoła nie zaglądnie jeno przed kółkiem stoi, dziewczęta zaczepia, brzydkie żarty mówi, a nawet przed krzyżem kapelusza nie zdejmie, bo podobno w mieście to wszyscy tak robią. Smutno pomyśleć, że tych wszystkich złych rzeczy tak prędko się nasi chłopcy uczą.

Albo i Stefka starej Wojciechowej — poszła do Krakowa na służbę i wróciła teraz po dwóch latach, bo powiada, że napracowała się już dość i musi sobie odpocząć. Pojechało dziewczątko miłe i skromne, a wróciła jakaś ni panna ni to co innego. Na grube nogi, przyzwyczajone od dziecka do chodzenia boso, włożyła różowe pończochy i lakierki, włosy krótkie, spodnice jakieś dziwaczne i całemi dniami po próżnicy siedzi, a przez okno wygląda, czy jaki kawaler nie idzie.

Ale na szczęście nie wszędzie jest tak źle. Oto do domu Grzegorzów z za młyna wrócił po dwóch latach z wojska Józek. Uciechy było co niemiara, bo za pieniądze co mu matuś niekiedy posyłali, przywiózł różne książeczki dla młodszych braci. Ojcu we wszystkiem pomaga, bo podobno w kompanji nauczył się ani chwili nie tracić, a wieczorami opowiada o tem, czego się sam od podoficerów i pana porucznika oświatowego nauczył; o przeszłości naszej ojczyzny i o tem, co dla jej dobra czynić teraz potrzeba.

Albo Staszek Wardęga. Dał go ojciec do szkół, ale że chłopiec był wątłego zdrowia, po ukończeniu czterech klas gimnazjalnych powrócił do zagrody rodzinnej. Dziś gromadzi koło siebie małą biedotę i uczy ją sztuki czytania i pisania, uczy rachunków i innych pożytecznych rzeczy.

Cóż za radość, gdyby więcej było takich, którzy na złe nauki zamykają oczy i uszy, a na dobre, złote ziarna oświaty otwierają szeroko serca, aby potem rozsiewać dokoła siebie to, czego się sami od lepszych i mądrzejszych nauczyli.

# Tajemnica na dworze królewskim.

## Powieść historyczna.

Jaksowie i moi dwaj księża czekają — odezwał się Opat.

— Niechże jadą — odparł król.

Natenczas Opat zaczął kreślić obszernie plan podróży i opowiadać, jakimi listami do Rzymu miał ich opatrzyć. Listy te przeciw zwyczajowi nie Pełrek przysposobił ale Benedyktyn, którego umyślnie dla napisania ich sprowadzono.

Następnie mówiono o znaczeniu wagi złota, jaką dwa poselstwa zabrać miały jako podarunek dla Ojca św. Wszystkie te szczegóły, o których myśleć musiał i mówić, odrywały mu myśli od bolesnego wspomnienia o królowej.

Uchwalono więc wysłać pierwszego Andruszkę z Ojcem Romualdem, Benedyktynem i kilku czeladzi dobranej między wiernymi królowi Niemcami. Pozorem wyprawy miało być poselstwo do cesarza. Ojciec Romuald, mający prowadzić gromadkę, znał dobrze kraje, które miał przebywać i zamierzał jechać od klasztoru do klasztoru, zasięgając u swych braci wiadomości o bezpieczeństwie gościńców. Andruszka miał powierzoną straż i obronę, zwierzchnią władzę nad czeladzią, pilnowania złota, które wieziono dla Papieża.

Tak więc udano się w podróż. Przejazd do sąsiedniej Marchji bez żadnego wypadku, napełnił Ojca Romualda otuchą.

Podróżni już się byli dostali szczęśliwie aż za Magdeburg i postępowali spiesznie dalej, gdzie się coraz bezpieczniejszymi być sądzili, gdy jednego wieczoru znaleźli się nad sporą rzeczką, jeszcze wodami wiosennemi wezbraną.

Dla podróżnych był tu przygotowany prom, stojący właśnie u drugiego brzegu. Nie daleko przewozu widać było na wzgórzu dość pokaźny zamek z wieżą i otoczony budynkami. Gościniec szedł pod samą górę.

Andruszce zdało się mimo mrok zapadający, iż na brzegu przeciwległym dojrzał kupkę jeźdźców. Pokazał ją Ojcu Romualdowi, ale ten nie widział w tem nic, coby ich zastraszać mogło. Gdy na zawołanie ruszył prom, aby ich przewieźć, uderzyło i to Jaksę, iż ci jeźdźcy się nań nie zabrali a więc jakby na czatach tam stać mieli. Benedyktyn zaś utrzymywał, iż właśnie spoczywali może po przewozie.

Po dość długiem oczekiwaniu przybyli wreszcie przewoźnicy z promem i nasi podróżni wsiedli. Andruszka, który na wszystko miał baczne oko, już na połowie rzeki mógł dojrzeć, że to byli uzbrojeni pachołkowie, którym stojący na przodzie dowodził pokaźny wąsal.

Skoro tylko przybili do przeciwległego brzegu, pachołkowie dokoła ich obstąpili. Ładowne konie zwracały łakome ich oczy, dowódca zawołał:

— Prowadźcie ich do burgu! Tam się wykaże, poco oni tu przybywają! — i nie zważając na przedstawienie Benedyktyna, poprowadzono schwytanych w górę ku zamkowi, gdzie pełno ludzi zbrojnych oczekiwało ich we wrotach.

Andruszka, który nawet miecza wydobyć nie mógł, zżymał się z gniewu, lecz przeciwko takiej przemocy nic począć nie mógł.

W milczeniu przybyli na obszerne podwórze i tu wyszedł do nich silnej budowy mężczyzna, po którego śmiałem obejściu się i postawie poznać było można pana domu.

— Aha! — zawołał zwracając się do księdza — my tu już na was czekamy dawno... Wiem dobrze, skąd jedziecie i dokąd... posłami jesteście od Bolka polańskiego, by mu mimo wiedzy cesarza koronę kupić w Rzymie. O was już na wszystkich wiedzą drogach i czatują, a mnie się szczęśliwie udało łakomą tę zdobycz zagarnąć...

Ksiądz chciał coś odpowiedzieć.

— Z koni! — krzyknął graf — związać ich!... Loch mam już dla nich przysposobiony.

Andruszka chciał się bronić, ale go czterech ludzi schwyciło i ściągnęło z konia. Miecz wyrwano mu z ręki. Toż stało się w mgnieniu oka z wszystkimi jego ludźmi. I ksiądz nie uszedł zniewagi .Ale szczęściem listy przeznaczone do Rzymu miał Ojciec Romuald w kapturze wszyte, a że mu jako duchownemu suknię zostawiono, ocalały więc listy. Potem zaczęto zdejmować juki z koni. Na widok skórzanych worków pełnych złota okrzyki radosne po całem rozlegały się podwórzu i zamku. Skarby dowodziły grafowi, iż się nie omylił.

Więźniów, ani słuchając, ani patrząc na nich, kazał związanych zaprowadzić do lochu. Pędzono ich popychając i bijąc, a dziedzińce rozlegały się szyderskiemi śmiechy.

Gdy ich zamknięto w ciemnej jamie, Ojciec Romuald ukląkł się modlić, Andruszka włosy rwał z głowy z rozpaczy.

Graf Zeno, siedzący na tym zamku był lennikiem Arcybiskupa magdeburskiego. Po krótkiej więc naradzie ze swymi przybocznymi, ubezpieczywszy zabrane złoto, siadł na koń, aby panu swemu wesołą przywieźć nowinę.

Ale wkrótce zrodził się spór groźny o zabrane złoto, które Arcybiskup za własność swą uważał; graf zaś poprzysiągł, że nie da z niego ani odrobiny. Zagrożony więzieniem Zeno, obwarował się na swoim zamku, gotów bronić siebie i swego skarbu z orężem w ręku.

O tem wszystkiem dowiedziano się w Poznaniu od wędrującego mnicha, który szedł do Gniezna do grobu św. Wojciecha i wstąpił do Braci duchownych na Katedrze poznańskiej. Opatowi zdawała się chwila ta najsposobniejszą do wysłania drugiego poselstwa, którego się ani w Magdeburgu ani gdziekolwiekbądź nie spodziewano.

Przygotowanym był Bolesław i doradca jego na stratę i niepowodzenia, a choćby trzech posłów miano po drodze obedrzeć, król postanowił słać ich, póki ktoś szczęśliwy do Rzymu się nie dostanie i korony poświęconej mu nie przywiezie. Jurga z towarzyszem czekał na rozkaz. Jak brat, tak i on gotowym był na wszystko, co go spotkać miało, chociaż do życia wiązała go piękna Teodora i przyrzeczenia jej ojca, że za powrotem stanąć mają do ślubu. Zbudzono go w nocy, nie dając mu ani się żegnać, ani dać znać o sobie i za godzin kilka po odebraniu smutnej wiadomości o uwięzieniu pierwszego poselstwa, orszak drugi wyruszał furtą od Katedry na niebezpieczną wyprawę.

W owych czasach władza cesarska nie tylko przez całe Niemcy sięgała, ale obejmowała Włochy i nieomal wszystkie podległe im kraje. To też Opat nie wątpił prawie, że i drugie poselstwo wpaść może w ręce nieprzyjaciół.

O losie Andruszki nie spieszono uwiadomić króla, a Benedyktyni nie upominali się o Ojca Romualda, mając go już za straconego.

W kilka dni po wyprawieniu drugiego poselstwa, Opat wracając wieczorem do celi, ujrzał kupkę ludzi zebraną około dwóch pieszo przybyłych pielgrzymów, których ani z ubioru ani z postaci zrazu nie mógł poznać.

Zbliżywszy się dopiero, poznał z niewysłowionem zdziwieniem O. Romualda w odartej sukni, a obok niego nędznie odzianego Andruszkę.

— Bóg miłosierny! — zawołał Opat, zbliżając się ku nim spiesznie — więc uwolniono was!

Po serdecznem przywitaniu O. Romuald opowiadać zaczął, jak ich rzucono do lochu, jak potem przez litość córki więziennego stróża przeniesiono ich do izby ponad ziemią. Andruszka siłą i zręcznością wyłamawszy się nocą, spuścił się w podwórze, wyjścia przez wały wyszukał i księdza za sobą powołał. Nim zaświtało i ucieczkę odkryto, zbiegli już byli do lasu i łowieckim instynktem się w nim kierując, zdołali się dobić do Łaby, gdzie pomoc jakąkolwiek za obietnicą nagrody znaleźli.

Uradowany Opat odprowadził ich do swego pomieszkania, dla wypoczynku i pożywienia, a nazajutrz Andruszka, któremu wstyd było, iż tak nędznie wpadli w ręce zasadzce i straty wielkiej byli przyczyną, prosił gorąco Opata, aby go raz jeszcze wysłano. Tego jednak bez wiedzy króla uczynić nie można było.

Tymczasem Jurga z Ojcem Gosbertem i małym pocztem czeladzi zdążał do Rzymu po koronę. Podróż udawała się im szczęśliwiej; przebyli całe Niemcy bez wypadku, bo zamiast szerokich gościńców wybierali drożyny niewygodne i puste, a zatem od czat bezpieczne. Klasztory, do których wstępowali, dostarczały Ojcu Gosbertowi dokładnych wskazówek i dawały im za przewodników braciszków znanych w okolicy, którzy opowiadali wszystkim, iż prowadzą własność klasztorną.

Tak więc po długiej i uciążliwej podróży przybyli wreszcie do bram wiekuistego miasta, i wszyscy padli na kolana z dziękczynną modlitwą, czując, że tylko cudem dostać się mogli od celu podróży.

(Dokończenie nastąpi).

# „Wedle pocieszenia“.

**Obrazek ludowy.**

Huczał wicher zimowy — i mocował się z topolą, jakby ją chciał przewrócić koniecznie.

Śnieg padał płatami grubemi i pokrywał białym całunem garbate zagony, dachy słomiane i świeżo usypaną na cmentarzu mogiłę...

Od wrót cmentarnych gromadka ludzi szła. Chłopi czapki nasadzili na uszy, baby się otuliły chustkami... gawędę przerywały westchnienia.

— I zmarło się babinie!

— Oj zmarło, zmarło nieboże... znać wola Boża taka... jak jęło pod piersiami ściskać, kolka w plecach kłuć — nie wytrzymała...

— Ksiądz gadał, że musiała zapalenie jakieś mieć...

— Ale! zapalenie! może prędzej dudy w niej zamarzły... jak poszła prać na cały ranek do rzeki i na lodzie stojała.

— I lekowali ją przecie...

— A jakże! i wódkę z goździkami dawali i kurze ziele gotowali i ziołami kadzili i bańki żyd stawiał... i wszyćko na nic — trzeba było umierać.

— A dobra kobieta była! — poszukać takiej... jak jeno trzecie kury, ona już wstaje a pracuje... a pracuje...

— Wiadomo, taka baba jak ona, za dwóch chłopów zrobiła.

— I kiele bydła i kiele świni i w ogrodzie i u kądzieli — przyśpiewywała se jeno.

— Galanta kobiecina.

Do tych rozmów wmięszał się głośny płacz owdowiałego małżonka.

— Oj... oj... oj... cóż ja chudzina przez niej pocznę? jak ja się sierota ciężki obrócę?

— Nie płaczta, nie płaczta Wojciechu... Bóg miłosierny pocieszy.

— A któż mnie sierocie kartofli oskrobie, kto mi łyżkę barszczu zgotuje? A kto mi koszulinę upierze, a kto mi chleba upiecze?

— Ej, Wojtysiu nie zawódź, umarlaka nie dźwigniesz z grobu, kiej go już święta ziemia przygniecie. Ożenią cię baby drugi raz...

— O moje ludeńkowie najmilsze, już to nie będzie nic z tego, niema mojej Małgosi, niema mojej gosposi, kochania mojego! Oj, sierota ja ciężki; o ciężki ja sierota! ni komu wydoić! ni świni komu jeść dać, ni do mnie komu przemówić. Oj, ludeńkowie najmilsze! już mnie się chyba utopić! utopić!

. . . . . . . . . . . . . . . . . . . . .

Płacząca i wzdychająca gromadka wtłoczyła się do karczmy; na ławach posiadali. Jankiel się z flaszką uwijał. On wzdychał także.

— Oj, oj, pewnie Wojciechu, — mówił — takie babe jak nieboszczka buło... to rzadko... To buło babe! aj waj! a gite bałabuste! z pełnem gembem gospodynia. Tylko ja jej zawsze mówiłem: Co wy moje Wojciechowe takie czekawe do robote jesteście? co wy sobie nigdy nie odpoczniecie? na takie paskudne wilgoszcz, i takie żymno, a kałt! to wy sobie skąpujecie na jeden półkwaterek wódki! Za co wy takie chytre na pieniądzów jesteście?

— O juści, co nie straciła, to nie.

— Nu mój kochany Wojczechu. Każta dać na ten frasunek... jak sobie trochę głowę zapruszyta, to wam będzie kole serca lżej — zaraz tak odciągnie, jak z lekarstwem, napyjta sobie do starej Zajęczychy, to bardzo porządna gospodyni jest...

Kwaterka krążyć zaczęła, gwar wzrastał — gorąco było w karczmie, a para osiadła na maleńkich okienkach.

Tylko Wojciech milczący siedział przy stole; grube narobione palce w gęste włosy wsunął, i tak na łokciach podparty dumał. Stara Zajęczycha przysunęła się do niego.

— Kumie! kumie! mówiła, silnie go w bok trącając — a dy się ruchnijta krzynkę!

— Bo co?

— Dyć łeb zwiesiliśta jak krówsko na żydowskiem podwórku i takieście markotne, jaż grzech.

— Ale! chceta żebym tańcował może...

— I potańcujeta jeszcze! nie wieta, jaka to je przypowiastka?

Zawdy w świecie taki skutek:
Po weselu bywa smutek,
Poczekawszy mało wiele,
Znów po smutku jest wesele.

— Gdzie mnie do wesela...

— Głupiśta kumie... chłop z was młody — gospodarz dobry, jeno żebyśta chcieli, to każda dziewka za wami poleci —jak za kobyłą źrebię.

— Kiej nie chcę i tylo.

— A co robić będzieta sami w chałupie?

— Co? dzieci nie mam... to i tak będę...

— O durny że ty chłopski narodzie... a cóż ty wart będziesz przez baby? Zryć sobie sam ugotujesz?

— To co? Oj... oj...

— I chleba upieces?

— Kupię.

— I śmaty se upierzesz? i chusty połatasz i kiele lnu zrobisz? a lato przyńdzie... a kto ci ogrody zasieje? kto do pielenia pójdzie...

— Oj, moja Małgosiu! moja ty gosposiu... niema ciebie, już niema! ryknął głośnym płaczem chłopisko — pusta moja chałupa... sierocka.

— Cich! cich! nie zawódź Wojtusiu — pocieszała Zajęczycha — tać ja tobie życząca i swojacka i kuma.

— Dyć prawda.

— To słuchajta kumecku... Jagnę Zagrodziankę znata?

— Toć znam.

— Nie dziewka, co?

— Dyć, dziewka, wiadomo!

— Swarne dziewczysko, jak rzepa — i na gębie gładka...

— Dyć nie kostropata...

— I w sobie podufała... zasadna...

— Niech ją tam — rzekł obojętnie Wojtek — Małgosi mojej niema!

— Rychtyk! chłopskie żałowanie, to jak kotowe płakanie, a ja wam zawdy powiadam, że co Jagna to Jagna!

— Juści Jagna.

— Gruntu będzie miała swojego moc, przez krowy tyż nie jest, naucna na wszystkie sposoby...

Chłop milczał.

— Ruchnijta się kumie raz, siedliśta jak zmokła wrona nieprzymierzając. Bierta gorzałki kwaterkę, idziem do zagrody...

— Tak zaraz?

— A co? Co z głowy, to z myśli. A wieta wy, dziś nam Bóg miłosierny dał czwartek, w niedzielę zapowiedź być musi, boć kusoki wnet... a jakuratnie tylko trzy niedziele ostało!...

Chłop ciężko z ławy się podniósł.

Zajęczycha do Jankla do alkierza wpadła...

— Ny, ny, Wojczechu — mówił żyd, z flaszką gorzałki wychodząc — wy sobie słuchajta, co wam Zajęczycha gadają, uni wam dobry interes dają do ręki...

— Oj, kiej strasecnie markotno...

— Aj waj, co to jest markotno? wusy dues a sołche markotność? to co buło, to już buło; a co szedzi w żemie... to już przepadniało... Co to jest za gadanie? Weźta wy sobie tak na delikatne rozum, ja wam co powiem! A jakby napsikład kot sobie obrócił ogonem, to jak wy myślita, co by buło?

— Jaki ci ta zaś kot znowu?

— Nie rozumita? ja powiadam, że jakby, tak do psipadku, niech Pan Bóg zabroni, wy same umarli, a wasze nieboszczka kobita by sobie ostała, to co wy myślita, że una by buła przez chłopa?

— Pewnie że nie.

— Tak samo i wy nie będzieta przez babe, bo co to jest chłop przez babe? to nic nie jest! to kapcon jest! cały gałgan sze zrobi!

— Prawdziwie niby...

— Ja wam co powiem, widzita wy ten banknocetel?

— Widzę.

— Ny, a co to jest?

— Co ma być? Juści reński.

— Tak, to jest reński, cały reński, możecie za niego dostać blisko półtorej kwarty okowity, albo więcej jak pół kope szledzi, albo 100 obwarzanków!! Prawda jest?

— Juści prawda.

— Teraz weźta wy od tego banknocetla oberwijta numer ten mały! ten maleńki numer z podpisem. To ten reński, co buł reński, już nie będzie reński, już on nie będzie wart ani centa — ani półcenta! Weźcie wy sobie na delikatny rozum, co chłop przez babe, przez jedne babe, takie zwiczajne babe, to jest reński bez numeru, grosza nie wart jest... już ja wam więcej nic nie powiem...

— Chodź, chodź, Wojciechu, żyd dobrze gada, sprawiedliwie, choć ci żyd.

Powoli ciężkim krokiem powlókł się Wojtek za babą i zniknął w wioskowej ulicy...

. . . . . . . . . . . . . . . . . . . . . . . . . .

A co to chcesz, Wojciechu? pytał proboszcz kłaniającego się pokornie wieśniaka.

— Na mszę świętą za nieboszczkę... ta i na zapowiedzi z Zagrodzianką Jagną...

— Tak prędko? tamtąś wczoraj dopiero pochował... jużeś się pocieszył...

— Ej, przez urazy ojca duchownego, ja nie wedle pocieszenia, ino krowinów jest trzy, a niema komu wydoić...

*Klemens Junosza.*

## *Och ty nocy!...*

*Och ty, nocy, zimna, długa,*
*Snów i marzeń ludzkich smuga,*
*Gdy zapadną cienie twoje,*
*Niech odpoczną zmysły moje!*

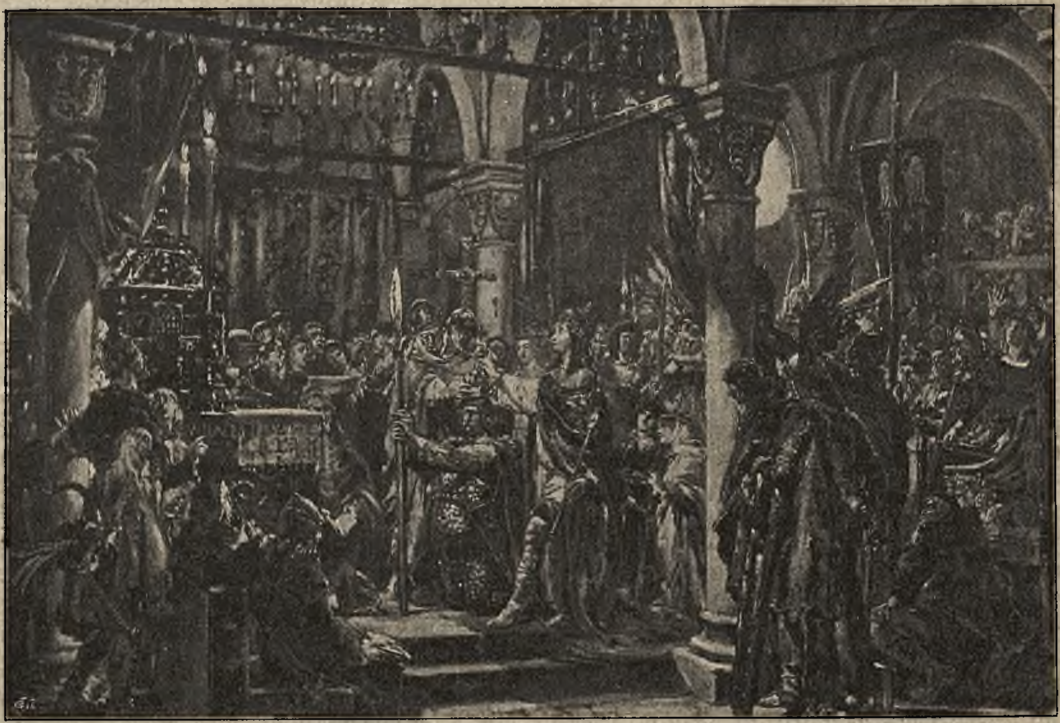
*Niech zapomnę ciężkiej doli,*
*Niech zapomnę, co mnie boli,*
*Niech zapomnę choć na chwilę*
*Trosk codziennych, — spocznę mile!*

*Jaźni mojej daj obrazy,*
*Jasne, czyste i bez skazy,*
*Ukojenie daj prawdziwe,*
*Odpędź mary obrzydliwe!*

*Ciało moje przez sen miły*
*Niech nabierze nowej siły,*
*Bym mógł zrana powstać zdrowo,*
*Myśleć, działać, żyć nanowo!*

*Szczepan Orzech.*

# KORONACJA PIERWSZEGO KRÓLA POLSKIEGO.



Jeżeli sięgniemy myślą w przeszłość naszą, to zauważymy, że ta nasza Polska ukochana nie była początkowo ani tak wielką, ani tak potężną, jak w późniejszych latach swego istnienia lub dzisiaj. Początkowa Polska, to szereg drobnych plemion, mieszkających wśród lasów nad Wisłą i Wartą, które się nawet pomiędzy sobą nie znały, a świat mało co o nich wiedział. I my o tych plemionach nie wiele wiemy, gdyż nie miał kto o nich nam napisać, gdyż wówczas na ziemiach polskich pismo było nie znane.

Pierwsze jakie takie wiadomości mamy dopiero o Mieczysławie I., który to pierwszy w Polsce chrzest święty przyjął, a już znacznie dokładniejsze o jego synu Bołesławie Chrobrym, który był prawdziwym twórcą państwa polskiego. Jak już potężnym był Bolesław, świadczy fakt, że odwiedził go w Gnieźnie cesarz niemiecki Otto III i w czasie uczty sam mu koronę królewską na głowę włożył. Nie była to jednak ani koronacja, ani uznanie Bolesława za króla. Bolesław musiał się dopiero starać o to, aby Ojciec św. nietylko uznał go jako króla, ale aby mu nadto przysłał poświęcaną koronę z Rzymu. O tych staraniach mamy właśnie wzmiankę w naszej powieści p. t. „Tajemnica na dworze królewskim“.

Starania Bolesława uwieńczone zostały pomyślnym skutkiem: Ojciec św. przysłał mu pożądaną koronę, a Bolesław ukoronował się nią uroczyście.

Na naszym obrazku malowanym przez najsławniejszego mistrza polskiego Matejkę widzimy właśnie ową uroczystę koronację pierwszego króla polskiego.

Jak wiadomo, następcy Bolesława Chrobrego nie koronowali się na królów, dopiero począwszy od Władysława Łokietka każdy następny monarcha polski dopełniał uroczyście koronacji.

## *Jedno szczęście.*

*Już kominek ogniem płonie,*
*moje serce w życia doli*
*przeglądając numer »Roli«,*
*w złudnych myśli morzu tonie*
*i czarowne snuje baśnie,*
*gigantyczne kawalkady,*
*a na dworze lecą grady*
*i uliczne światło gaśnie.*
*Jedno szczęście w tym padole.*
*pośród płaczu i tęsknoty*
*w chatkę wgląda promyk złoty,*
*gdy kochaną czytam »Rolę«.*

*Sikora-Sikorowicz.*

## *Śpiewaj ludu!*

*Śpiewaj, ludu, swoje pieśni —*
*Pełne piękna a prostoty,*
*Które czarem wzniosłej treści*
*Ducha rwią na wyższe loty.*

*Śpiewaj, ludu — bo w tych pieśniach*
*Cała głębia uczuć skryta:*
*Cała przeszłość górna, chmurna*
*Twojej ziemi jest spowita,*

*Śpiewaj, ludu, bo z tych pieśni*
*Moc się rodzi, pewność siebie*
*I przeszłości ukochanie*
*Na ojczystej — wolnej glebie!*

*Albatros.*



# MACIEK BZDURA GADA:

Wszyscy ci, co słuzyli w wojsku austryjackiem, wiedzą dobrze, co to był ten tak zwany ajncel, w którem się co trocha za byle co siedziało, ale ci, co przy wojsku nie byli, to myślą se, ze to jakiesik nic. A tu tymcasem ajncel to było takie coś, którego się kuzdemu wnet odechciało. Takiego ajncelnika prowadzili pan kapral, abo pan fir do taki maciusi izbinki, w którejby się moja gosposia za nic w świecie nie zmieścili. Nie było w niej nic, ino okno i śtyry ściany. Jakoś to będzie, myślę sobie, ciasno, bo ciasno, ale cłek się przynajmniej na całą wojnę dokumentnie wyśpi! Zdziwam więc mantel, co po katolicku płascem się nazywa, kładę go na ziemi a na niem swoje grzysne cielsko, zamykam gały i pocynam chrapać w najlepse.

Jescem się na drugi bok nie zdołił przewrócić, a tu coś mnie po łopatce, jakby palicem, drapie. Kaśka nie Kaśka! — myślę se — bo Kaśka miała ten zwycaj, jak my se legli, dawać palcem znać, ze jesce nie śpi i spać się jej nie chce. Ale Kaśka robiła to we wsi, a skądby ona się tu w ajnclu wzięła. Ale ze babie nie trza nigdy wierzyć, bo ona zawse, jak ino chce, do twojego najculsego miejsca się dobierze, więc kto wie, cy i do ajncla jakiem cudownem sposobem się nie wślizła. Więc choć mi się nie kciało gał otwierać, podniuzem powieki i bacę, cy aby gdzie Kaśki nima.

Coprawda Kaśki nie było, ale jej palec ciągiem na łopatce cuję. Sciągam więc cemduchu portcęta i mościewy, co powięcie? Łazi wam po mojem grzysnem cielsku taki okrutecny karakon, jak nos pana organisty. Złapałem to ścirwo w palice i chlasnął z całej siły za okno.

I znowu myślałem, ze jakosik zacęte spanie dokońce. Ale gdzietam! Z jednego Kaścynego palucha narobiła się ich cała kopa i zacęły się pchać w najniepotrzebniejse miejsca. Musiałem to wszyćko cemduchu wydłubywać i wyrzucać, a bez to o spaniu nie było ani gadania.

Dwadzieścia śtyry godziny zesło mi na takiem uganianiu się i ani minutę oka nie zmruzyłem. Niech was pieruny trzasną, myślę se, z takiem ajnclem! Cłek był zdrowiusieńki, a teraz, kto wi, co moze być!

Po dwudziestu śtyrech godzinach przychodzą pan kapral i powiadają delikatnie, jak do chorego przystało:

— Zbiraj się ufermo pokręcona i marś do marud wizyty.

Źle! — myśle se — teraz ten weteryniarz gotów mi jesce jakiego ajncla przepisać, a juz tego, com go odsiedział, miałem dość. Padam więc do pana kaprala:

— Panie kapral, melduje posłuśnie, com ja całkiem zdrów!

— A co se ty źgacu myślis! — wsiedli na mnie pan kapral — cy ja krajsbabka, abym wiedział, cyś zdrów, cy zdechlak! Befel jest befel i doktór ci oglądnie, gdzie mas feler, a gdzie ci nic nie brakuje.

Ha, jak ma oglądać, niech se ogląda, kiedy taki ciekawy, ja mu przecie bronił nie będę, bom nie zadna panienka, ino zołmirz, to wiem, ze jak kazą, to trza słuchać.

I znowu pan kapral zaprowadził mnie do doktora, a ten mnie pyta:

— No i cóz, lepi wam?

— Acha lepi! — padam ja — Jakby tak pan doktór przez dwadzieścia śtyry godziny sam na sam z karakonami przesiedział, toby dopiero widział, cyby mu było lepi.

— No to gut! — powiada na to doktór. La odpocynku dostaniecie teraz dwa dni dinsfrei!

Chciałem się spytać, co to za nowa cholera, ale pan kapral zatkali mi capką gębę i wypchali za drzwi.

Prędko jednak dowiedziałem się, co to było to dienstfrei. Z takich dinstfrajów składało się całe moje zycie przedwojenne. Tu ino do skrobania zimniaków, zamiatania izby, nosenia drzewa i tak dalej, przybyło jesce latanie po cygara la pana fira i pana felebla, za co w dokatku dostałem jesce ze śtyry bucaki po plecach.

Ale i ta druga wojenna choroba po dwóch dniach jakosik się scęśliwie skończyła.

## *Śnią mi się!...*

*Śni mi się wioska, rozsiana w rzędy,*
*I te bieluchne, jak śnieg chateczki*
*I te zielone koło nich grzędy, —*
*Gdzie wiosną rosną cudne kwiateczki.*

*Śnią mi się piękne kwieciste łąki,*
*Szumiące zboża, złotawe kłosy, —*
*Ponad któremi dzwonią skowronki,*
*Gdzieś w białych chmurkach popod niebiosy.*

*Śni mi się w borze pachnąca sosna,*
*Ten śpiew słowika, co płynie w gaju,*
*I ta melodja wdzięczna, radosna,*
*Śnią mi się czary właściwe, maju.*

*Śni mi się tęskna, czarna olszyna,*
*I te księżyca promienie złote...*
*Przy których nieraz smutna dziewczyna*
*Rozweseliła moją tęsknotę,*

*Śni mi się dziewczę słodkie, tęskniące...*
*Jak jaśniejące gwiazdki w błękicie...*
*Że szepce mile słówka kojące*
*»Kocham cię więcej, niż swoje życie!«*

*Że razem szczerze w śmiechu kaskadzie*
*Spowita z serca mistycznym czarem*
*Złote całuski raz po raz kładzie*
*Na me policzki, z słodkim nektarem.*

*J. Mc. Handzl.*

# Wśród puszcz i stepów.

## 5. Orzeł czubaty.

Zrobiliśmy w każdym razie wyborny interes — mówił Jan Wattson do ojca, wracając z nim nocą do domu po pożegnaniu z Sercem prawem — i wskazał z uśmiechem na sporą paczkę pięknych skór, otrzymanych za murzyna.

— I ja tak myślę — odrzekł stary Wattson sucho i z dziwnie posępną miną.

— Co ci się stało, ojcze, że w takim złym jesteś humorze?

— Albož niema czem się niepokoić.

— Ręczę, że Serce prawe strasznie przesadził.

— Nie wierz temu; ci ludzie, którzy z upodobaniem narażają się na największe niebezpieczeństwa, nie mają zwyczaju mówić o nich z przesadą.

— Ależ i my także mamy oczy — rzekł Jan, upierając się przy swojem — bylibyśmy przecież wykryli




Dziki zerwał się na równe nogi

jakieś ślady czerwono-skórych, zwłaszcza gdyby rzeczywiście w większej liczbie wałęsali się w naszych stronach.

— To prawda. Pamiętaj jednak, że my nie mamy tyle przenikliwości i przebiegłości, co taki myśliwiec, nie mówiąc już o Indjanach.

— Ja ich się jednak nie obawiam — rzekł olbrzymi Jan, bijąc się w piersi potężną pięścią.

— Ani ja także; ale tym razem lepiej nam było podobno pilnować domu, aniżeli gonić za tym przeklętym murzynem. Niechby go było licho porwało.

— Patrz-no, patrz, ojcze — szepnął półgłosem Jan, rad, że może odwrócić uwagę ojca od niemiłego przedmiotu rozmowy.

— Co takiego? — spytał tamten równie cicho, biorąc broń do ręki mimowolnym ruchem.

— Nic złego — ciągnął dalej syn — tylko jeleń, ale pyszny, dawno już podobnego nie widziałem.

— Gdzież ty go widzisz?

— Ot tam na polance.

— Prawda, prawdziwy wirginijski! — zawołał Wattson, który bystrym wzrokiem dopatrzył także jelenia, pomimo wzrastających ciemności.

— Musimy go zajść jednocześnie z dwóch stron — mówił Jakób Wattson do Jana — ty idź za wiatrem, a ja podsunę się ze strony przeciwnej. Ciebie, rozumie się, zwietrzy wcześniej i jeśli się nam zasadzka powiedzie, uciekając, puści się prosto na mnie.

— Dobrze — odparł Jan i pomknął ostrożnie we wskazanym kierunku. Jeleń tymczasem nie poruszał się z miejsca i gryzł gęstą, nizką trawę, rosnącą na polance. Kiedy niekiedy jednak podnosił głowę i wietrzył, lecz zwracał się w inną zupełnie stronę, wcale nie tam, skąd nadchodzili obaj Wattsonowie. Ci zaś skradali się z wielką ostrożnością, lecz niedaleko jeszcze odeszli jeden od drugiego, gdy nagle się zatrzymali, jakby w niepewności, poczem syn podbiegł na palcach do ojca i szepnął mu do ucha:

— Sam nie wiem, co to jest.

— Ja także nie mogę dobrze rozpoznać.

— Zdaje się, że drugi jeleń mniejszy. Tak ciemno, ani sposobu dojrzeć.

— Coś mi się nie zdaje, żeby to był jeleń.

— Ależ widzę wyraźnie rogi.

— To nic nie znaczy, jelenie po ziemi nie pełzają.

— Możebyśmy podeszli bliżej.

— Podejdźmy, lecz bądź bardzo ostrożny.

— Zapewne, bo obie sztuki mogą nam umknąć.

— Nie to ja mam na myśli.

— A cóż innego?

— Obawiam się, aby skóra i rogi zwierzęcia nie ukrywały czasem człowieka.

— Do pioruna! może to naprawdę Indjanin — i odważny Jan przeląkł się jednak cokolwiek.

— Tak mi się zdaje — rzekł ojciec, a w głosie jego ledwie dosłyszalnym, brzmiała także trwoga — Indjanie często polują tym sposobem, okrywając się skórą zabitego jelenia i uwiązując sobie rogi jego na głowie. Tak przebrani podsuwają się do zwierzyny, nieraz im się uda zakraść pomiędzy stado jeleni, i nim zwierzęta podstęp spostrzegą, jednego a nawet i kilku zastrzelić z łuku.

Prowadząc tę rozmowę półgłosem, ojciec i syn zbliżali się powoli i z ostrożnością największą do miejsca, gdzie pasł się duży jeleń wirginijski i wietrzył ciągle, z pewnym niepokojem spoglądając na drugiego jelenia, który już dość blizko do niego się podsunął.

— Nie, to nie jest jeleń, teraz nie mam najmniejszej wątpliwości — szepnął stary Wattson, zatrzymując się o jakich trzydzieści kroków od dziwnej postaci, naśladującej jelenia.

— I ja to widzę — dodał syn.

— To też nie mamy tu co długo popasać; gdzie jest jeden Indjanin, tam z pewnością znajdzie się ich więcej. Ruszajmy więc coprędzej do domu i niech nas Bóg uchowa od bliższego spotkania z czerwonemi skórami.

— Chciałbym jednak obaczyć — rzekł Jan — czy Indjanin upoluje jelenia.

— To się rozstrzygnie za chwilę, jeśli sobie życzysz, poczekamy jeszcze trochę.

I w samej rzeczy po chwili jeleń podskoczył na miejscu, jak szalony.

— Indjanin musiał strzelić — szepnął Jan.

— I trafił — odrzekł ojciec.

— Oho! patrz, ojcze, zwierzę się odwraca i biegnie prosto na nas.

— O! to nam wcale nie na rękę, chowajmy się coprędzej.

— A gdyby ja teraz zastrzelił jelenia?

— Niech cię Bóg broni! uciekaj za mną.

W pobliżu polanki wznosiło się klika skał, zbliżonych do siebie, w odstępach pomiędzy niemi można było ukryć się wybornie; tam też szybkimi krokami pobiegli ojciec z synem.

Dwaj osadnicy przytulili się do zagłębienia skały; sami nieruchomi, jak głazy, oddech powstrzymując w piersiach, patrzyli wzrokiem wytężonym w stronę, z której śpiesznym krokiem zbliżała się wysoka postać ludzka. Widzieli ją coraz wyraźniej, najmniejszej wątpliwości nie mieli, że to był Indjanin. Nie zdjął on z siebie skóry jeleniej, — duże rogi sterczały mu i teraz na głowie, — lecz przy świetle księżyca łatwo było dojrzeć twarz miedzianą.

Przygłuszony okrzyk: „hug!“ wyrwał się z piersi Indjanina, gdy stanął obok zabitego jelenia. Pochylił się nad nim i wprawną ręką obracał zwierzynę swoją na wszystkie strony, oceniając jej wartość. Wkrótce jednak uwaga jego zwróciła się widocznie na inny jakiś przedmiot, gdyż zaczął szperać po ziemi, jakby szukał czegoś w trawie; powtórnie, lecz ciszej jeszcze wymówił „hug!“, potem wyjął nóż z kieszeni i najspokojniejszy na pozór zaczął skórę z jelenia zdejmować.

— Ten hultaj odkrył nasze ślady — szepnął stary Wattson do ucha synowi.

— Chyba na swoje nieszczęście — odrzekł tamten równie cicho.

— A jednak wolałbym go nie zaczepiać.

— Jabym mu zaraz palnął kulkę w łeb.

— Ani mi się waż!

— Dlaczegoż to, ojcze?

— Bo cała banda tych łotrów czerwonych musi być gdzieś w pobliżu.

— To prawda. Ale jeżeli już raz odkrył nasze ślady i wypuścimy go cało, da znać swoim towarzyszom, a wtedy będziemy ich wszystkich mieli na karku. Czy tak czy tak, nie unikniemy niebezpieczeństwa.

— Trzebaby znaleźć jakiś sposób, aby go nieszkodliwym uczynić.

— Spuść się na mnie, ojcze.

— Cóż ty chcesz zrobić?

— Indjanin jest tak blizko, że w mgnieniu oka mogę go dosięgnąć, rzucić się na niego, no... reszta już łatwo pójdzie.

Nie chciałbym daremnie krwi rozlewać.

— Niema zresztą potrzeby go na śmierć udusić. Możemy tylko związać mocno hultaja i usta mu zakneblować. Nim go towarzysze odnajdą, my już będziemy w domu.

— To niezły pomysł; nie zwlekajmyż więc i żwawo bierzmy się do dzieła.

Obaj złożyli ostrożnie strzelby u stóp skały. Jan, jako młodszy i zwinniejszy, miał pierwszy rzucić się na Indjanina, a ojciec pośpieszyć mu niezwłocznie z pomocą.

— Najważniejsza rzęcz, żeby nie miał czasu krzyknąć, nim się z nim załatwimy — mówił stary Wattson.

— Bądź spokojny, ojcze — szepnął Jan i przypadłszy do ziemi, zaczął pełzać, jak wąż, po trawie, usiłując zajść Indjanina od tyłu. Ten zdawał się całkowicie pogrążony w swej robocie i najlżejszym ruchem nie zdradzał, aby cośkolwiek innego obchodzić go mogło w tej chwili.

Lecz był to pozór tylko. W rzeczywistości wychowaniec puszczy śledził czujnie najlżejszy szelest; ani cicha rozmowa obu osadników w kryjówce, ani poruszenia Jana w trawie nie uszły jego uwagi.

Jan był już bliskim celu, gdy dziki zerwał się nagle na równe nogi, zrzucając z siebie jednocześnie skórę i rogi jelenie. Syn osadnika ujrzał przed sobą młodzieńca swojego wieku, wysokiego wzrostu, o kształtach wysmukłych, lecz silnych zarazem; twarz jego nie miała w sobie nic wstrętnego, i patrząc na białego człowieka wzrokiem przenikliwym, badawczym, stał nieruchomy, trzymając nóż skrwawiony w ręku. Tymczasem stary Wattson ukazał się obok syna i podnosząc broń, zawołał dobitnie:

— Jeżeli tylko krzykniesz, czerwono-skóry, w tej chwili kulą w łeb dostaniesz.

— Orzeł czubaty nie ma potrzeby krzyczeć — odrzekł Indjanin spokojnym, dźwięcznym głosem — a ojciec mój może ten piorun na inny wypadek zachować, bo Orzeł czubaty ani myśli wstępować na ścieżkę wojenną i chce żyć w zgodzie z białymi swoimi braćmi.

— Jeśli Orzeł czubaty szczerze mówi, to i ja także nie mam najmniejszej ochoty krwi rozlewać — odrzekł osadnik, mierząc podejrzliwym wzrokiem Indjanina.

— Orzeł czubaty nie ma podwójnego języka — mówił tamten, ocierając nóż i za pas go wkładając — nie jest też wcale Pawnisem, tylko Osagiem, a Osagowie żyją w przyjaźni z białymi.

— Nie jesteś Pawnisem? — powtórzył Wattson przyjemnie zdziwiony, gdyż plemię Pawnisów najgorszej używało sławy, a myśliwiec przed ich napaścią właśnie przestrzegał.

— Orzeł czubaty jest Osagiem i wstydziłby się być Pawnisem — powolnym głosem mówił Indjanin.

— Więc Orzeł czubaty tak nie lubi Pawnisów? — spytał osadnik.

— Pawnisy są psy — rzekł tamten krótko, a z oczu jego błyskawice strzeliły.

— Czy Orzeł czubaty nie napotykał tu gdzie Pawnisów?

— Tu nie. Ale włóczą się niezbyt daleko w tej stronie, skąd słońce wschodzi.

Wattson pobladł. W kierunku, wskazanym przez Indjanina, leżała właśnie jego osada.

— Czy włóczą się w znacznej liczbie w tamtej okolicy.

— Szerokie i liczne ścieszki wydeptują w lesie.

— Orzeł czubaty nie wie, w jakim celu przybyli w te strony.

— Wybrali się na żubry i na ludzi białych.

— Skądże Orzeł czubaty ma tę wiadomość?

— Z własnych ust Pawnisów to słyszał; oni już oddawna zbierali się wykurzyć białych ze swoich gruntów myśliwskich.

— Widać stąd jednak, że Orzeł czubaty utrzymuje stosunki z Pawnisami.

— Pawnisy są nieprzyjaciółmi Osagów a Orzeł czubaty nie wdaje się z nimi w rozmowę, tylko ich podsłuchał.

— Orzeł czubaty jest zapewne wodzem?

— Ojciec mój prawdę powiedział.

— Ileż wojowników ma Orzeł obecnie pod swoimi rozkazami w tych stronach?

— Tylko tylu, ile mój ojciec ma palców u obu rąk.

— Jakto, dzisięciu, nie więcej?
— Ojciec mój jeszcze mi nie ufa.
— Rzeczywiście, sam nie wiem...
— Orzeł czubaty radby jednak bardzo przekonać swego białego ojca i młodszego brata, że nie jest podstępny, jak wąż. Wódz Osagów najchętniej nawet zawarłby przymierze z nimi.
Indjanin wyrzekł te słowa z taką prostotą i szczerością, że podejrzenia osadnika znikły; był tylko zdziwiony i zapytał:
— Jakież powody ma Orzeł czubaty do tego, by z nami zawrzeć przymierze?
— Orzeł ma do tego dwa powody.
— Niechże syn mój mówi szczerze — rzekł osadnik, naśladując sposób mówienia Indjanina.
— Najpierw — odpowiedział tamten — Orzeł czubaty nie ma żadnej niechęci do ludzi białych, przeciwnie...
— A z jakiej-że przyczyny Orzeł czubaty ma życzliwość dla białych ludzi?
— Bo jeden biały uczynił mu dużo dobrego i jest najserdeczniejszym jego przyjacielem. Przez wzgląd na tego jednego, Orzeł czubaty życzliwym jest dla wszystkich białych.
— Któż to taki?
— Ojciec mój nie zna go zapewne, nazywa się Serce prawe, — jest wielkim, sławnym myśliwcem.
— Dziś właśnie się z nim poznałem, chociaż imię to oddawna nie było mi obce. Niema jeszcze godziny, jakeśmy się rozstali.
— Czy wódz Osagów radby się widzieć z Sercem prawem?
— Orzeł czubaty umyślnie przyszedł w te strony, aby się spotkać z wielkim myśliwcem.
— Wódz Osagów wspomniał przed chwilą, że ten myśliwiec wyświadczył mu wiele dobrego. Może to ciekawość niewłaściwa, lecz radbym bardzo wiedzieć...
— Serce prawe wzięty był do niewoli przez Osagów, gdy liczył szesnaście wiosen zaledwie, Osagowie napotkali go wśród lasu, wędrującego sam jeden z bronią w ręku, jakby myśliwiec dorosły i doświadczony. Nie łatwo było pochwycić chłopca, gdyż schronił się do kryjówki, urządzonej nakształt twierdzy, gdzie zapamiętale się bronił. Okazał on wówczas odwagę jaguara i przebiegłość lisa. Ani jeden muskuł jego twarzy nie drgnął, gdy go prowadzono na śmierć i do pala uwiązano. To męstwo w tak młodym wieku wzruszyło serce Osagów. Wodzem był wtenczas ojciec Orła czubatego, który przystąpił do młodzieńca i rzekł, że Osagowie darują mu życie, jeżeli zostanie odtąd ich przyjacielem. Serce prawe przystał na to chętnie i odtąd przebywał pośród plemienia Osagów i nigdy zaufania ich nie zawiódł; myśliwiec biały jest dotąd najserdeczniejszym przyjacielem czerwonych swych braci. Orzeł czubaty był chłopczykiem trzynastoletnim, gdy Serce prawe zbratał się z Osagami. Obaj pokochali się wzajemnie, jakby dzieci jednego ojca. Razem polowali, razem odbywali wycieczki, Serce prawe opiekował się młodszym bratem i nieraz uratował mu życie z narażeniem własnego. Orzeł czubaty umie być wdzięcznym, i chętnie także oddałby życie za myśliwca białego.
— Ale Orzeł czubaty powiedział, że ma podwójny powód sprzyjania nam — rzekł Wattson. Jakiż jest drugi powód?
— Wódz Osagów lubi odwdzięczyć każdemu wyświadczone dobrodziejstwo.
— Ależ wódz Osagów nie ma żadnych obowiązków wdzięczności dla mnie i dla mego syna.
— Ojciec mój i młody brat postąpili szlachetnie, Orzeł czubaty cenić to umie.
— Nie pojmuję wcale.
— Ojciec mój i brat nie są spragnieni krwi czerwonoskórych, jak inni ludzie biali.
— Skądże wódz Osagów wie o tem?
— Wszak mają obaj broń piorunową i mogli ze swej kryjówki zastrzelić Orła czubatego, jak psa. Orzeł czubaty pragnąłby się odwdzięczyć; czy ojciec mój w tej chwili nie potrzebuje pomocy?
Osadnik, znający dobrze chytrość i przebiegłość Indjan, wahał się jeszcze, gdyż trudno mu było w te zapewnienia przyjaźni uwierzyć.
— Gdzież są owi wojownicy, których wódz Osagów przyprowadził z sobą? — spytał po chwili milczenia.
— Wojownicy Orła czubatego ukryci są w tych skałach, w tem samem miejscu, z którego ojciec mój i brat wyszli przed chwilą.
— Nie, ja w to uwierzyć nie mogę! — zawołał Jan i chciał biedz do skał, aby się przekonać o tem naocznie. W tej chwili z ust Indjanina wyszedł dźwięk, naśladujący doskonale świerszczenie. Z szybkością błyskawicy wypadły z za skał ciemne postacie i okrążyły wodza dokoła: dziesięciu rosłych, silnych wojowników stanęło przy jego boku. Obaj Wattsonowie z przerażeniem pochwycili broń do ręki.
— Ojciec mój i brat mogą być spokojni — odezwał się wódz tym samym serdecznym tonem — ci wojownicy byliby mogli na znak Orła czubatego przeszyć ich serca w jednej chwili swemi strzałami, nie dając im czasu piorunów w strzelbach zbudzić.
— Jabym miał prośbę do Orła czubatego — rzekł po chwili stary Wattson.
— Niech ojciec mój mówi z całem zaufaniem.
— Mam osadę niezbyt stąd daleko, w pięknej dolinie nad rzeką, wpadającą do Arkansasu.
— W której stronie? — spytał Indjanin — może tam? — i wskazał w stronę wschodu.
— Tam właśnie. Czyżby wódz znał osadę moją?
— Orzeł czubaty był w pobliżu tej osady.
— Jak dawno?
— Przed kilku dniami, właśnie idąc tu na spotkanie Serca prawego.
— Czemuż to twarz mego syna nagle pochmurną się stała? — zapytał Wattson zaniepokojony, gdyż młody Indjanin namarszczył czoło i zamyślił się posępnie.
— Pawnisowie włóczą się w tej okolicy — odrzekł po chwili milczenia — mój ojciec zostawił tam dzieci same, Orzeł czubaty obawia się o nie.
Umilkł Indjanin i zamyślił się na chwilę, wreszcie podniósł głowę i żywo zapytał:
— Jaką drogą ojciec mój chce powracać do domu?
Osadnik wskazał mu, w którym kierunku iść zamierzali.
— To najgorzej — mówił wódz, kręcąc głową — ojciec mój i brat wpadliby bardzo prędko w ręce tych psów Pawnisów i byliby zgubieni.
— A więc cóż mamy czynić? — pytał Wattson przerażony.
— Orzeł czubaty sam poprowadzi ojca swego i wskaże mu drogę bezpieczną. Ale chodźmy już, nie ma czasu do stracenia.
Orzeł czubaty szedł naprzód, wskazując drogę, a obrał kierunek wprost prawie przeciwny temu, który osadnicy za najdogodniejszy uważali.

(Ciąg dalszy nastąpi).



# Poradnik gospodarczy.

Ogrodnictwo prowadzone racjonalnie może przynieść bardzo duże zyski, zwłaszcza w pobliżu dużych miast i większych środowisk fabrycznych.

Często wśród lata można widzieć w Krakowie przekupniów, wykupujących o świcie warzywa, przywiezione przez producentów na targ, które później są ładowane na wozy i wysyłane do centrów przemysłowych na Śląsku. Handlarze ci dobrze przy tem zarabiają.

Widząc rzecz taką, nasuwa się pytanie, czy nie dałoby się zorganizować w małych gospodarstwach wiejskich uprawy jarzyn na większą skalę, zwłaszcza w zachodniej części Polski, aby należycie, a bez pośrednictwa przekupniów zaopatrywać w warzywa nasze centra fabryczne.

Nietylko jednak w pobliżu tychże należałoby zaprowadzać gospodarstwa, produkujące warzywa, ale wszędzie gdzie ziema jest odpowiednią. Gdzie zaś jest gleba mniej urodzajną, można ją przez racjonalną uprawę ulepszyć, poprawić. Są osady, oddające się na większą skalę uprawie warzyw, zwłaszcza cebuli i ogórków, ale jest to zerem wobec wielkiego zapotrzebowania tych i innych jarzyn.

W kraju naszym możemy dużo wyprodukować warzyw, gdyż ziemi i rąk nam nie brakuje, tak, że nawet swemi produktami moglibyśmy zasilać rynki zagraniczne.

Chcąc założyć ogród warzywny, musimy wybrać odpowiednie miejsce pod niego. Musi to być miejsce blisko zabudowań gospodarskich i odpowiednie do uprawy jarzyn, które chcemy produkować. Wydatność tychże zależna jest od jakości ziemi; grunt powinien mieć położenie równe, otwarte na wschód i południe, a zakryte od północy. W pobliżu musi być woda, konieczna do podlewania roślinek, które jej bardzo dużo potrzebują.

Mając wybrany obszar ziemi pod ogród warzywny, dzielimy go na wygodne części i wytyczamy ścieżki wzdłuż i wszerz, aby każda część ogrodu była łatwo dostępną. Aby uchronić ogród przed szkodnikami dwu- i czworonożnymi, należy go dobrze ogrodzić.

Grunt pod jarzyny powinien być dobry, żyzny, głęboko spulchniony. Ziemia nie powinna być ani za sucha, ani za wilgotna. Potarta, powinna rozsypywać się w ciemny proch ,polana zaś wodą, nie powinna być spoistą, ciężką i mokrą. Musi łatwo odpadać od łopaty i nie tworzyć w stanie suchym zbitych grud.

Najlepiej udają się jarzyny na gruncie piaskowo-gliniastym, gdzie jest dużo pruchnicy, powstałej z rozłożonych części organicznych roślin. Głębokość urodzajnej ziemi powinna wynosić od 50 do 100 cm. Ziemia koloru ciemnego (słynny czarnoziem wschodni) zawiera nietylko potrzebne dla roślin pokarmy, ale pochłania promienie słońca, wskutek czego łatwiej się ogrzewa i prędzej rozkłada nawóz i działa na szybszy wzrost roślin. Ziemia w ogrodzie musi być częściej nawożona, gdyż pożywne części składowe nawozu prędzej zostają zużyte przez rośliny i musimy na to miejsce ustawicznie w miarę zużycia dostarczać nowych pokarmów.

Jak już powiedzieliśmy wyżej ,ziemia w ogrodzie warzywnym musi być bardzo pulchna, aby korzonki roślin mogły się swobodnie rozrastać i w wielkiej ilości czerpać pożywienie. Aby ziemia była odpowiednio spulchniona, należy ją głęboko uprawiać w celu zwiększenia jej urodzajności. Przez głębokie przekopanie ziemi zostaje ona wystawiona na działanie powietrza, słońca, deszczu i nawozu. Wskutek tego zawarte w niej pożywne cząstki zostają należycie rozłożone i przygotowane pod korzenie roślin. Spodnią warstwę ziemi, mniej wartościową wydobywa się na wierzch, aby nabrała pożywnych własności.

Jeżeli ziemia ta nie jest urodzajna, trzeba ją odpowiedniemi przymieszkami poprawić. I tak: ziemi ubogiej w piasek dodać piasku. Zbyt lekki, piaszczysty grunt, zawierający dosyć wapna, poprawiamy gliną, natomiast grunt torfiasty poprawia się piaskiem i wapnem.

*Jan Matysik.*

## Ważność sadownictwa dla drobnego rolnika.

Minęły czasy, kiedy w naszej wiosce i w okolicznych wsiach podgórskich były sady przeważnie drzew śliwkowych, węgierek. Krzewiły się prawie same z odrośli korzeniowych, a rozsadzane rosły bardzo pięknie i rodziły owoc doborowy. Przyszła jesień, to każdy gospodarz miał do sprzedania nie jeden wóz śliwek. Jedni gospodarze wywozili owoc na Górny Śląsk lub do Krakowa, a niektórzy gotowali powidła, lub suszyli owoc na lasach. Za pieniądze, które się otrzymało za owoc, płaciło się podatek, asekurację; kupowało się buty, lub ciepłe ubranie na zimę i było jakoś inaczej aniżeli dzisiaj.

Minęły te czasy, jak wszystko przemija, przyszła jakowaś zaraza na nasze drzewka śliwowe; starsze poschły, a młodsze nie mają żadnej ochoty do życia. Robiło się koło nich, co się mogło; okopywało, okładało nawozem, obrzynało poschłe gałązki, ale wszystko nadaremnie. Drzewa śliwowe prawie przepadły, a na ich miejscu błyszczą pustkowia. Przepadły drzewa śliwowe, bo się wyrodziły, ale na ich miejsce możemy sadzić inne odmiany śliw, lub jabłonie i grusze, które w naszych okolicach udają się bardzo dobrze. Nie stać z załamanemi rękoma, jak po pogrzebie, tylko z wiosną wziąść się do pracy, nabywać drzewka owocowe, przeszczepiać starsze drzewa, które mają drobny niedorodny owoc, na szlachetniejsze, a będziemy mieli te same pieniądze, lub większe, jak dawniej za nasze śliwki węgierki!

U nas w Skawinkach został zaprowadzony Związek Zawodowych Rolników przez pana inspektora Lorenza z Lanckorony, który obiecał nam dostarczyć za przyczyną Krajowego Zarządu Zaw. Roln. drzewek owocowych po przystępnej cenie, a zrazów do szczepienia darmo, i da nam wskazówki, jak starsze sady oczyszczać, a nowe zakładać. To niechże każdy z rolników robi co może, by załatać dziury w sadzie po wyschłych drzewach śliwowych. Ileż po wsiach jest koło domu u najbiedniejszego kawałeczków ziemi, która leży nieużytecznie, lub rośnie jakiś krzak bez

użytku; i z tego kawałeczka ziemi podatek musi się zapłacić, a pożytku niema. Naprzykład w naszej wiosce w Skawinkach niema takich gospodarzy zamożnych, którzyby plon z zagonu sprzedawali na targach, i spłacili swe podatki, lub inne daniny, jak to bywa gdzieindziej. Na opędzenie tych wydatków każdy wywodzi swoją chudobę na targ, czy to cielątko, jałówkę, czy jakiego wieprza. Mając zaś kilka dobrych drzewek owocowych, jużby za owoc zapłacił wszystkie podatki i spłaty, czy to za nawozy sztuczne, czy przyodziewek na zimę, a dobytek, któryby pozostał, mogłoby się spieniężyć, czy to na pomnożenie gospodarstwa, czy na inne potrzebniejsze rzeczy. Przyrównam tu naprzykład jabłka do pszenicy; ja niżej podpisany sprzedawałem jabłka na targu w Krakowie przed samemi świętami Bożego Narodzenia za jeden złoty dwadzieścia groszy za kilogram, co uczyni za jeden metr jabłek stodwadzieścia złotych. Pszenica płaci się pięćdziesiąt do pięćdziesiąt pięć złotych za jeden metr; to za jeden metr jabłek pięknych będziemy mieli dwa metry pszenicy. A teraz porównajmy pole pod dwa metry pszenicy, a kawałeczek ogrodu pod jedno drzewo owocowe; jaka jest w tem wielka różnica! Niechże każdy z rolników, choćby najbiedniejszy stara się nabywać drzewka owocowe, zakładać ogrody, bo owoc więcej płaci niż wszystkie inne nasze plony. A tak składając w gospodarstwie jedno ku drugiemu, to jak mówią: z i a r n k o d o z i a r n k a i b ę d z i e m i a r k a...

*Michał Głowacz*

członek Okr. Związku Zaw. Rolników w Skawinkach.

# Bolszewickie małżeństwa.

Do czego doprowadzają rządy bolszewickie, mamy na to przykład w obecnych małżeństwach rosyjskich. Oto z dniem pierwszym stycznia rb. weszło w życie nowe prawo małżeńskie w Rosji sowieckiej. Ustawa ta znosi szereg dotychczas obowiązujących przepisów prawa małżeńskiego. Najważniejszym paragrafem nowej ustawy jest, że od Nowego Roku „sags" (urząd stanu cywilnego) nie może wpisywać do rejestru małżeńskiego dziewczęcia poniżej lat 18. W Rosji oddawna było zwyczajem, że ludzie wcześniej się żenili, w republice zaś sowieckiej zawieranie małżeństw przez ludzi, którzy dopiero co wyszli z lat dziecinnych, należało do zjawisk codziennych. Najczęściej narzeczone liczyły dopiero szesnaście wiosen, kiedy wstępowały po raz pierwszy w związki małżeńskie.

Podwyższenie wieku dziewcząt, uprawnionych do wychodzenia zamąż, miało skutek nie oczekiwany. W ostatnich dniach miesiąca grudnia panowała prawdziwa epidemja małżeństw. W kancelarjach „sags" tłoczyły się niezliczone pary, a wszystkie pragnęły zawrzeć związki małżeńskie przed wejściem w życie nowego prawa.

Liczba dziewcząt, chętnych do wyjścia zamąż przed skończeniem osiemnastego roku życia zwiększała się tak szybko, że kancelarje stanu cywilnego w całej Rosji zawalone były pracą. Urzędniczki w Rosji, (w urzędach stanu cywilnego pracują przeważnie młode panny) — zmuszone były często kazać narzeczonym przyjść nazajutrz, bo im brakło sił do załatwienia wszystkich aktów ślubnych w ciągu jednego dnia.

Jaki obraz przedstawiały w owych dniach urzędy, opisuje bolszewicka „Krasnaja Gazeta".

W centralnem biurze urzędu stanu cywilnego siedzi człowiek liczący około lat trzydziestu. Obok niego siedzą dwie kobiety. „Stara kobieta" przystojna osoba lat około dwudziestu pięciu i „młoda" kobieta, dziewczyna nie mająca jeszcze lat siedmnastu. On chce sprawę załatwić sumarycznie, a mianowicie rozwieść się ze „starą" i natychmiast żenić się z „młodą".

Przy innym stole stoi młoda kobieta, wychodząca zamąż po raz czwarty. Na pytanie: „Ile pani ma lat?" odpowiada:

— Ośmnaście.

— Czy naprawdę już ośmnaście?

— Tak.

Jednocześnie kobieta pokazuje swoje papiery, z których wynika, że mówi prawdę. Nie może podać nazwisk swych poprzednich trzech mężów, bo jak twierdzi, nie przypomina ich sobie.

— To już tak dawno — mówi.

Być może, że wstydzi się trochę tak bogatej przeszłości przed swym nowym mężem.

Parka dopiero od dwóch dni zaślubiona, przychodzi, by się rozwieść. Spieszą się bardzo, bo ona jeszcze pragnie wyjść powtórnie zamąż przed 1 stycznia. Na pytanie, dlaczego chcą się rozwieść, odpowiadają:

— Tak będzie lepiej.

Urząd stanu cywilnego zajęty jest rejestrowaniem bardzo wielu rozwodów między ludźmi, którzy ożenili się dopiero w roku 1926.

Wchodzi młoda kobieta. Jest zamężna a nawet ma na palcu obrączkę ślubną, co w Rosji zdarza się teraz bardzo rzadko. Zwraca się do panny z „sags" z następującemi słowy:

— Mam lat siedmnaście i zawarłam tutaj związek małżeński na jesieni. Jeżeli się teraz rozwiodę, czy będę mogła w styczniu wyjść zamąż po raz drugi?

Jest to trudne pytanie.

—Widzi pani, w ustawie powiedziane jest wyraźnie, że narzeczona nie może mieć mniej, niż lat ośmnaście.

Odpowiedź ta nie podobała się młodej kobiecie, która głośno wypowiada swe oburzenie z powodu trudności, na jakie napotka zawarcie przez nią nowego ślubu. Urzędniczka pociesza ją:

— Jest zresztą możliwe, że dla kobiet, które już raz były zamężne dopuszczone będą wyjątki.

Tak dzieje się w urzędzie stanu cywilnego przez dzień cały. Wreszcie biuro zostaje zamknięte, lecz wciąż jeszcze nadchodzą nowe pary, którym zależy na pośpiechu. Jeżeli biura są już zamknięte, pary zamawiają swą kolej na dzień następny i otrzymują numer, bo zapisywanie par do rejestru małżeńskiego następuje według kolejnych numerów.

Dodać trzeba, że jest tu mowa o ślubach cywilnych, a nie o kościelnych, które teraz w Rosji należą do wyjątków.

# Wiadomości polityczne.

**Wydanie posłów sądom.** W ubiegłym tygodniu sejm obradował nad sprawą wydania sądom posłów, którzy zostali aresztowani za wrogą działalność przeciw pańsśwu polskiemu. Po długiej, a często burzliwej dyskusji, uchwalono wreszcie znaczną większością wydać sądom następujących posłów: Taraszkiewicza, Rak-Michajłowskiego, Miotłę, Wołoszyna i Hołowacza. Będą oni teraz odpowiadać za swe sprawki przed sądem i jak spodziewać się należy, surowo ukarani.

**Uchwały N. P. R.** W niedzielę odbył się w Warszawie pierwszy zjazd stronnictwa N. P. R. Kongresówki przy udziale przeszło stu delegatów. Prezes stronnictwa pos. Chądzyński zreferował system polityki stronnictwa. W dyskusji wypowiedziano się z dalekoidącym krytycyzmem w stosunku do obecnego rządu. W rezolucji wezwano władze naczelne N. P. R. do kontynuowania w stosunku do rządu zdecydowanej opozycyjnej taktyki.

**O zwalczanie komunizmu w Polsce.** W niedzielę odbył się w Warszawie wiec Związku ludowo-narodowego. Uchwalono rezolucję, domagającą się od sejmu uchwalenia ustawy dla zwalczania komunizmu, na wzór nietylko takich państw jak Rumunja, Estonja i Finlandja, które pozostają w najbliższem sąsiedztwie do sowietów, ale także na wzór demokratycznej republiki szwajcarskiej.

**Z Karwiny** piszą nam, że wynik wyborów w Karwinie przedstawia się inaczej, aniżeli podaliśmy w „Roli“, gdyż burmistrzem został wybrany nauczyciel Polak p. Teodor Guziur, pierwszym zastępcą Dr Wacław Olszak prezes Macierzy, drugim zastępcą również Polak p. Jan Siuda.

**Przeciw Polsce.** Niemcy nie ustają knuć przeciw Polsce, gdzie się tylko da. W innych krajach działalność ich nie bardzo się im wiedzie, ale w Rosji znajdują zawsze pole do popisu dla swej akcji. Oto onegdaj wylądowali dobrowolnie lotnicy sowieccy w Łucku, którzy opowiadają, że sztab sowiecki szkoli na terenie Rosji olbrzymią liczbę pilotów niemieckich na aparatach bojowych zaopatrzonych w silne motory wytwarzane w Rosji przez fabryki niemieckie pod kierunkiem instruktorów niemieckich. Sensacyjne te informacje wskazują na stosunki i związki istniejące pomiędzy niemiecką Reichswehrą i sztabem sowieckim. Świadczą one przytem, że owe dwa wrogie państwa przygotowują się zgodnie do przyszłej akcji przeciw Polsce.

**Bombardowanie Oporto.** W Portugalji przychodzi od czasu do czasu do wybuchów rewolucji w poszczególnych miastach. Rewolucje te rząd tamtejszy zawsze tłumi przy użyciu niewielkich sił. W ubiegłym tygodniu przyszło znów do wybuchu powstania. Powstańcy postanowili się bronić w Oporto. Minister wojny zarządził wobec tego, aby cywilna ludność miasta Oporto najpóźniej w niedzielę rano opuściła miasto, albowiem po wyznaczonym terminie rozpocznie się bombardowanie miasta. Wobec takiej sytuacji powstańcy wyrazili gotowość poddania się pod pewnemi warunkami. Minister odmówił jednak temu, żądając poddania się bez zastrzeżeń, a wojska rządowe osaczyły i zamknęły w Oporto oddziały powstańców. Powstańcy złożyli przysięgę, że żywi nie poddadzą się. Samoloty rządowe rozrzuciły nad miastem odezwy, wzywające do poddnia się powstańców i apelujące do uczuć patrjotycznych. W nocy rozpoczęło się ostrzeliwanie miasta. Liczba zabitych i rannych nie jest jeszcze znana. Podobno wojska rządowe ujęły szefa sztabu powstańców.

# KRONIKA.

**Zgon biskupa Matulewicza.** Z Kowna nadszedł oficjalny telegram o śmierci b. biskupa wileńskiego ks. Jerzego Matulewicza.

**Morderstwo na maskaradzie.** Piszą nam z Radomia: Bal maskowy w Radomiu miał stać się widownią tragicznego zajścia. Oddawna zapowiadany, oczekiwany z napięciem bal miał zebrać najwykwintniejsze towarzystwo miasta i okolic i stanowić największą atrakcję karnawału. Wreszcie nadszedł upragniony dzień interesująco zapowiadającej się zabawy. Piękną salę zapełnił tłum rozbawionych masek. Nikt nie spodziewał się, że za chwilę w tym przybytku humoru i wesołości poleje się krew i zmrozi radosny nastrój. Wśród najrozmaitszych domin wyróżniało się szczególniej jedno i wzbudzało ogólne zainteresowanie. Była to postać prześlicznej kolombiny, którą otaczał rój męskich masek. Zwolna tajemnicza ta postać stała się sercem zabawy. Wszyscy spostrzegli, że o względy jej najbardziej ubiegały się dwa domina męskie. Znać było, że obaj rywale pałają ku sobie jakąś namiętną nienawiścią. W pewnej chwili w ręku jednego z zamaskowanych mężczyzn błysnął sztylet.



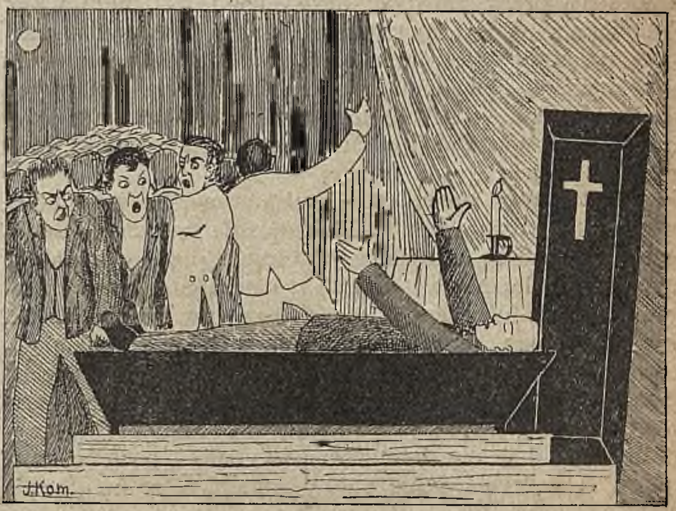

Wszyscy oniemieli z przerażenia. Nim jednak ktokolwiek otrząsł się z wrażenia, szalony rywal zatopił sztylet po rękojeść w ciele przeciwnika. Ugodzony runął jak piorunem rażony, krew zalała posadzkę balową. Morderca, korzystając z chwilowego zamieszania, zbiegł niepoznany. Zebrani goście rzucili się na ratunek rannego. Zdjęto mu z twarzy maskę. Okazało się, że jest to znany mieszkaniec Radomia p. Józef Lupa. Energiczne usiłowania, aby uratować rannego, spełzły na niczem. Ugodzony nożem w tętnicę Lupa zmarł w kilka minut po tragicznem zajściu. Niebawem wśród zebranych ukazała się policja. Rozpoczęto energiczne śledztwo. Zeznania wszystkich zgadzały się na jedno. Prawdopodobnie powodem tragicznego zajścia była owa kolombina. Nie znaleziono jej jednak wśród gości. Zniknęła natychmiast po morderstwie. W ten sposób osoba, która ewentualnie mogłaby dać jakieś wskazówki o osobie mordercy i właściwych powodach tej strasznej zbrodni wysunęła się z rąk władz śledczych. — Tragiczne to zajście balu maskowego zrobiło przygnębiające wrażenie w całej okolicy.

**Handlarz żon.** W ręce policji warszawskiej dostał się w ostatnich dniach niejaki Mojsze Chunia Różański, jeden z najniebezpieczniejszych handlarzy żywym towarem, który na swem sumieniu ma już niejedną ofiarę,

którą rzucił na dno nędzy, aż za ocean do Argentyny. Działalność swą rozwijał on od wielu lat. Polska była dlań tym wdzięcznym terenem, z którego najłatwiej wywoził kobiety. W ten sposób zbrodniarz wywiózł ponad 20 kobiet na środkowo-amerykańską wyspę Kubę i do Argentyny. Na targach amerykańskich sprzedawał swój towar właścicielom domów rozpusty po cenie 3.000 dolarów za „sztukę". W Warszawie posiadał on wielu dobrze zakonspirowanych wspólników. Z przeprowadzonych dochodzeń okazuje się, że Różański w rozmaitych odstępach czasu poślubił 12 kobiet i wszystkie wywiózł i sprzedał w Południowej Ameryce. Pierwszą jego żoną i zarazem ofiarą była Chana Rozenbach, którą w kilka tygodni po ślubie sprzedał w Argentynie, gdzie zaginął po niej wszelki ślad. Matka jej rozpoczęła energiczne poszukiwania, które doprowadziły do stwierdzenia, że Chana znajduje się w Buenos Aires i dorobiła się tam wielkiego majątku. Obecnie Chana rozpoczęła za pośrednictwem matki starania w rabinacie o rozwód. Na przeszkodzie w tej akcji stał oczywiście Różański. Dowiedziawszy się o wielkiej fortunie swej pierwszej żony, odpowiedział z więzienia, iż na rozwód zgodzi się pod warunkiem, że otrzyma połowę jej kolosalnego majątku(!) Propozycja oczywiście była nie do przyjęcia. W tym samym czasie z podobnemi propozycjami wystąpił przeciw Różańskiemu p. Walsman z Hrubieszowa, ojciec piątej jego żony, Gili. Sprzedana również w Argentynie przez swego męża, zdołała jednak powrócić po niezwykłych i bardzo ciężkich przeżyciach do Hrubieszowa. Waksman zwrócił się do rabina o rozwód, lecz Różański dał bezczelną odpowiedź, żądając również wysokiego wynagrodzenia. Ponieważ rabinat warszawski spodziewa się, że niebawem zaczną się zgłaszać pozostałe żony, żądając rozwodu, postanowił wysłać swego przedstawiciela do więzienia, aby bezpośrednio rozmówić się z mężem dwunastu żon. Onegdaj rabin Kanał udał się do sędziego śledczego i otrzymał zezwolenie na rozmowę z Różańskim. Pod presją jego perswazji, po kilkugodzinnoj konferencji, Różański zgodził się udzielić pierwszej żonie rozwodu religijnego. Zastrzegł jednak przytem, że rezerwuje sobie wszystkie pretensje jakie rościł dotychczas wobec pierwszej żony i wystąpi z niemi w razie żądania rozwodu cywilnego. W tych dniach w celi więziennej odbędzie się uroczysty akt napisania listu rozwodowego w obecności rabina. Ceremonja taka, jak długo istnieje nasze więziennictwo jeszcze się nie odbywała.

**Wódz bandytów w spódnicy.** Kobiety przewodzą już we wszystkiem, nawet w bandytyzmie. Przed sądem w Berlinie stanęła obecnie młoda dziewczyna bardzo poważnej rodziny, oskarżona o to, że była przewódcą bandy włamywaczy. Nazywa się Marta Franke. Spodziewano się, że będzie to kobieta rosła i silna, a ujrzano wątłą i szczupłą dziewczynę. Oświadczyła przed sądem, że nie mogła się oprzeć urokowi, jaki wywierało na nią stanowisko wodza bandytów. Zaczęła najpierw okradać swoich rodziców, potem opuściła ich dom i mieszkała z podejrzanymi przyjaciółmi. Brała wraz z nimi udział w nocnych wyprawach złodziejskich, a równocześnie odwiedzała modne kluby taneczne Berlina. Pewien bogaty człowiek zaprosił ją do siebie w czasie nieobecności swojej żony. Odwzajemniając mu się za to, odwiedziła go następnej nocy, ograbiwszy jego mieszkanie przy pomocy swoich wspólników. Kiedy sędzia wyrzucał jej ohydę tych czynów, odparła: „Nie mogłam się oprzeć żądzy kradzenia!" Zasądzono ją na karę 18-miesięcznego więzienia.

**Zmartwychwstanie nieboszczyka.** Przed kilku dniami zmarł w miejscowości Czopie, na Słowaczyźnie, pewien tamtejszy mieszkaniec. Rodzina zmarłego urządziła stypę, jak to jest tam we zwyczaju, jeszcze przed pogrzebem. Gdy zgromadzeni goście zabierali się właśnie do jedzenia, podniosła się groźnie z katafalku naprzód jedna ręka, potem druga, a wreszcie uniósł się z trumny sam nieboszczyk, który leżał dotychczas w letargu.



Przerażeni goście pogrzebowi uciekli w popłochu, nie mniej jednak przerażony był i sam domniemany nieboszczyk, gdy zbudziwszy się z swego długiego snu, ujrzał się w trumnie na katafalku. Rzecz się wkrótce wyjaśniła i żywy trup zasiadł wesoło wraz ze znajomymi do przygotowanej uczty,

**Uprzejmość niemiecka.** Do Kapstadtu przybył jeden z najcięższych krążowników floty niemieckiej „Emden". W czasie postoju okrętu na molo zebrał się tłum pragnących zwiedzić olbrzyma. Na zebranych zupełnie niespodziewanie z pokładu krążownika skierowano sikawki, zalewając w jednej chwili wszystkich wodą, co zmusiło zebranych do szybkiej ucieczki. Wybryk ten wywołał oburzenie w mieście i interwencję władz miejskich, którym komendant statku tłumaczył się potrzebą zastosowania podobnego środka ze względu na zbytnie przeładowanie mola i obawą upadku stojących bliżej wody. Odpowiedziano komendantowi statku, iż przed zastosownniem podobnego środka trzeba było ostrzedz zebranych.

**Dowcipny prefekt.** W jednym z południowych departamentów francuskich rzeźnicy postanowili niedawno podnieść ceny mięsa, co jednak nie mogło się stać bez zgody prefekta. W tym celu syndykat ich ofiarował prefektowi wspaniały samochód z prośbą, aby nie zabierał wcale głosu, kiedy na zebraniu rady departamentalnej jeden z jej członków przedstawi wniosek o podwyższenie cen. Podczas zebrania, zaledwo rzecznik rzeźników skończył uzasadniać swój wniosek, prefekt odezwał się:

— Może panowie rzucą okiem na podwórze, gdzie stoi wspaniały samochód. Został mi on ofiarowany jedynie za to, że będę milczał. Cóż musiał otrzymać szanowny wnioskodawca za to, żeby przemawiał?

Zaczepiony, bez słowa opuścił salę, zabierając w roztargnieniu kapelusz prefekta. Spostrzega to jednak na korytarzu i wracając po swój kapelusz, odezwał się z uśmiechem:

— Przez pomyłkę zabrałem kapelusz pana prefekta. Mamy takie same głowy.

Na co prefekt:

— Być może co do objętości, ale nie co do zawartości.

Wniosek o podwyższenie cen mięsa nie został przyjęty, podobnie zresztą jak i auto, a w dodatku syndy-

katowi rzezników wytoczono skargę o usiłowanie przekupstwa urzędnika.

**Bibljoteka dla niewidomych.** Donoszą z Londynu, iż założona w r. 1888 przez pewną niewidomą ofiarodawczynię, angielska bibljoteka narodowa dla ślepych została obecnie poważnie powiększona. Przejęta w r. 1916 przez państwo, liczy obecnie 140.000 tomów. Frekwencja jej jest nadzwyczaj silną; ilość wypożyczanych dziennie dzieł przenosi 600. Objętość poszczególnych książek, pisanych pismem specjalnem jest nieraz bardzo wielka. I tak biblja pisana metodą Braillego składa się z 38 wielkich tomów, metodą zaś Moona obejmuje 62 foljały.

**Potworny mecz.** W angielskim mieście Bringhton, w szpitalu wojskowym, wobec licznie zebranej publiczności i lekarzy odbyła się walka na pięście pomiędzy dwoma inwalidami wojennymi: kapitanem Lowe i majorem Leaby. Pierwszy z nich stracił na wojnie wzrok, drugi zaś nogę. Angielskie pisma sportowe podają obszerne sprawozdania telegraficzne z tych „sensacyjnych" zapasów, opisując jak ślepy usiłował uderzyć przeciwnika, a beznogi zachować równowagę. Najbardziej karygodnem wydaje się być w tym wypadku postępowanie władz szpitalnych, które dały pozwolenie na urządzenie takiego widowiska.

**Lekarz małżeństw.** Przy ulicy Królowej Wiktorji w Londynie mieszka człowiek, który życie swoje poświęcił godzeniu małżeństw, nie żyjących ze sobą w zupełnej zgodzie. Człowiekiem tym jest pułkownik Reginald B. Chapman, kierownik biura „pojednań" armji zbawienia, staruszek o długich siwych włosach i poczciwych oczach, który od trzydziestu ośmiu lat poświęca się akcji filantropijnej. Biuro pojednań otwarto dopiero w czerwcu ubiegłego roku i od tego czasu zajmowało się już dwustu sprawami rozwodowemi. Bogaci i biedni, młodzi i starzy, bankierzy, magnaci naftowi, robotnicy parowi, kobiety z ludu i damy z towarzystwa spieszą do biura, ażeby otrzymać od Chapmana radę, jak można odzyskać utracone szczęście małżeńskie. Zgłaszali się też do niego ciekawi reporterzy, ale nic nie chciał im powiedzieć, zasłaniając się tajemnicą zawodową. Rozmawia długo z klientami, apeluje do ich zdrowego rozsądku, sprowadza razem powaśnionych, a gdy uważa za stosowne i wskazane zawiadamia rodziny o grożącym im rozwodzie

**Śmierć wśród tańca.** W ostatnim czasie w dwóch oddalonych od siebie punktach Europy, a mianowicie w Londynie i w Kłajpedzie, dwa młode życia padły ofiarą szerzącego się szału tańca. Na pewnym balu w stolicy Anglji, jakaś panna ze sklepu, która bez przerwy tańczyła do 3 w nocy, zasłabła nagle. Wytrwałą tancerkę przewieziono do domu, gdzie w kilka godzin potem umarła. Lekarz zawezwany oświadczył, że nadmierny taniec spowodował zapalenie otrzewnej i wskutek tego śmierć. W pewnym znów lokalu w Kłajpedzie zdarzył się wypadek jeszcze bardziej tragiczny. Pewien robotnik obecny na zabawie, pokazywał swemu przyjacielowi nabity rewolwer. Z powodu niezręcznego obchodzenia się z bronią nastąpił strzał. Ponieważ w sali muzyka przygłuszała wszystko, więc wypadek ten nie zwrócił z początku uwagi. W pół godziny potem młoda dziewczyna, która przez cały czas tańczyła, padła na ziemię. Okazało się, że kula z rewolweru trafiła ją, a ona pomimo to w dalszym ciągu tańczyła. Na drugi dzień młoda dziewczyna zmarła.

**Pies obrońca moralności.** Pies nie jest bezpiecznym widzem teatralnym Znana artystka sceniczna, Filia Teetmes. ulubienica publiczności londyńskiej, zabrała ze sobą, udając się na próbę, nieodstępnego faworyta swojego, rasowego foksa. Posadzony na wygodnym fotelu w pierwszym rzędzie widowni, zasnął pies spokojnie, obudził się jednak w chwili, gdy na scenie, zgodnie z akcją sztuki, „namiętny amant" usiłował przemocą pocałować jego panią. Foks jednym susem znalazł się na scenie i chwycił za łydkę aktora Wilsona, grającego tę niewdzięczną w tych warunkach rolę. Z wielkim wysiłkiem udało się Miss Teetmes uwolnić „dolną garderobę" swojego partnera od kłów wiernego psa.

**O beatyfikację Piusa X.** Do Ojca św. Piusa XI wystosowano w ostatnim czasie z różnych stron prośby o zaliczenie papieża Piusa X. w poczet świętych. Między innemi podobną prośbę przesłał także generał zakonu Jezuitów Ojciec Ledóchowski w imieniu zgromadzeń jezuickich Włoch, Francji, Hiszpanji, Niemiec, Polski, Anglji i Ameryki, wywodząc, że tak życie samo papieża, jak i starania, które położył około utwierdzenia Kościoła i pokonania jego wrogów, najzupełniej na to zasługują. Beatyfikacja ta przysporzyłaby także nowej ozdoby dla stolicy Piotrowej, dlatego zakon zanosi do Ojca świętego gorącą prośbę, aby wnet polecił wdrożyć potrzebne kroki i dochodzenia dla przeprowadzenia tej sprawy.

**Czarne miasto w białem mieście.** Tak możnaby nazwać dzielnicę Nowego Jorku Harlem, zwaną również popularnie „Czarnym Paryżem". W dzielnicy tej mieszka przeszło pół miljona murzynów. W tej części miasta bardzo rzadko można napotkać obywatela, mogącego poszczycić się białą twarzą. Fryzjer, właściciel restauracji, konduktor tramwajowy, policjant, piękna manikurzystka — wszyscy noszą na twarzy piętno podzwrotnikowej urody. Jak wiadomo, mimo postępu kultury, mimo demokratyzacji, olbrzymia przepaść dzieli w Ameryce pod względem towarzyskim obie rasy. Pogarda dla „colorman'ów" wżarła się w krew i ciało białych potomków Kolumba. Biada murzynowi, któryby się ośmielił sunąć w koperczaki do „bladolicej" dziewczyny. „Prawo Lyncha" powstało właśnie na tle tych nienawiści rasowych. Im dalej na południe, tem antagonizmy te są silniejsze. W północnych krajach Ameryki przecież współżycie, na tle społecznem i gospodarczem, jest możliwe. Tylko na gruncie towarzyskim i nadal niema ani śladu złagodzenia ostrych przeciwieństw. To właśnie zmusza murzynów do zakładania zbiorowisk i tworzenia „miasta w mieście". Harlem należy dzięki przedsiębiorczości i energji czarnych swych mieszkańców do najlepiej zagospodarowanych dzielnic Nowego Jorku. Na czele mieszkańców tego olbrzymiego, bo przeszło półmiljonowego, zbiorowiska stoją wybitne jednostki jak Payton, który przyczynił się do rozbudowania dzielnicy; szef policji Merton, Moore czarny leader partji republikańskiej i wydawca gazety murzyńskiej „Wieko".

**Rekord pracy w 20-tym wieku.** Najpoczytniejszy dziennik w Kanadzie „Quebec" ogłosił niezwykle interesujący konkurs na rekord w tempie pracy. Rekord ten osiągnięto w następujący sposób: do fabryki sukna sprowadzono z odległego o 21 kilometrów miasteczka 4 barany. O godzinie 5 rano ostrzyżono je z wełny. W pół godziny na specjalnych maszynach wełnę oczyszczono i ufarbowano, poczem przystąpiono do przeróbki jej na sukno. Materjał wziął natychmiast oczekujący krawiec i z 5 pomocnikami uszył garnitur, który tegoż dnia o godzinie 6'45, a więc w godzin 13 i 45 minut był dostarczony samolotem gubernatorowi Kanady, bawiącemu na wystawie przemysłowej „Quebecu". — Oto jakie tempo przybiera nasze życie...

# RZECZY CIEKAWE.

## Pokrzywy.

Wiemy wszyscy z doświadczenia, jak nieprzyjemnem jest bliższe zetknięcie się z pokrzywą. Ale nasza pokrzywa wobec pokrzyw zagranicznych jest sobie niewinną rośliną. W umiarkowanej strefie jest około 30 gatunków pokrzyw. Gałązki ich i liście są pokryte małymi włoskami, których końce łatwo się łamią przy poruszeniu i zdrapują skórę; równocześnie wydziela się z nich w małą rankę ostry sok i powoduje palenie i świerzbienie. Sparzenie się naszą pokrzywą jest wprawdzie bolesne, ale nie można go porównać ze sparzeniem pokrzywami rosnącemi np. w południowej Azji. Przy najlżejszem poruszeniu powodują one w przeciągu godziny szalony ból, który się wkrótce rozszerza na całe ciało, trwa 24 godzin i dopiero po ośmiu do dziewięciu dni znika powoli. Na wyspach Sundajskich rośnie gatunek pokrzywy, który powoduje całoroczny nawet ból. Ranki, wywołanej sparzeniem się pokrzywą, nie powinno się nigdy zwilżać wodą lub śliną, gdyż przez to ból staje się większy i wyleczenie trudniejsze. Najlepiej jest nie używać żadnego środka przeciw bólowi i swiądowi.

## Jak ludzie piją herbatę?

O tem, jak u nas pije się herbatę, nie potrzeba chyba mówić. Podobnie, jak my, piją również Francuzi, Anglicy, Niemcy i Amerykanie. Ale już w Rosji picie to jest nieco odmienne. Używają tam do przyrządzenia herbaty wiecznie gotującego się samowaru. Wszystkie narody piją herbatę z filiżanek lub szklanek z wyjątkiem mieszkańców Urugwaju. Tutaj ssą ją srebrnemi, na końcu zaopatrzonemi okrągłem siteczkiem rurkami, ubodzy zaś zwyczajnemi rurkami lub słomą. W Chinach są filiżanki mało co większe od połowy skorupy jajka, na Jawie są szerokie i płaskie, na Martynice wysokie i wąskie. Zupełnie niezmieszaną piją herbatę w Japonji i w Chinach. Tam wsypuje się liście herbaty do miseczki, stojącej zazwyczaj w pięknem naczyniu metalowem, zalewa wrzącą wodą i przykrywa na kilka minut, ażeby zapach nie uleciał. Z miseczki zlewa się ją potem do małych filiżanek. Na Martynice dolewają bardzo często specjalnego likieru, na Jawie dodają araku, albo kilka liści pomarańcz, w Rosji bardzo często przyprawia się ją plasterkami cytryny, u nas zaś „poprawia się“ smak herbaty śmietanką lub rumem.

## Oczy a charakter.

Powiadają, że z oczu człowieka można poznać jego charakter. Prawda, że oczy są zwierciadłem duszy, ale i to jest prawdą, że zwierciadło często zawodzi. W oczach można wiele wyczytać i jest rzeczą naturalną, jeżeli z dużych, szeroko otwartych oczu wnioskuje się o charakterze dobrym, ale niezbyt rzutkim umyśle, zaś przy bardzo małych oczach przypuszcza się żywy i bystry umysł, ale złośliwy charakter. Wilgotne oczy są oznaką lubieżnego charakteru, czarne zdradzają żywą fantazję i duchową żywość, zaś szare, posępne oczy samolubstwo, oziębłość i oschłość serca. Niebieskie oczy uchodzą za oznakę dobrego serca, zaufania i wesołości, a przecież i wielcy zbrodniarze mieli niebieskie, szczere oczy. Trudno więc z całą ścisłością oznaczyć charakter człowieka z koloru jego oczu, to tylko pewne, jak twierdzi redaktor „Roli“, że oczy każdej kobiety są zabójcze!

## Kraj bez kamieni.

Wartość jakiejś rzeczy zależy od jej rzadkości. Dowodów na to możnaby przytoczyć setkami. Dlaczego np. czcimy tak i kochamy matkę? Oto przedewszystkiem, że mamy ją jedną. Albo żonę? Również dlatego! Inaczej u Mahometan. Tam żona niewiele jest ceniona, gdyż każdy może ich mieć tyle, ile sam chce. Taksamo z kamieniami. Mamy ich taką masę, że spowszedniały one nam zupełnie. Inaczej jednak rzecz się ma u mieszkańców południowego krańca Ameryki. Niejeden z tamtejszych Indjan nie widział jeszcze nigdy kamienia, gdyż są one tam na setkach mil taką rzadkością, jak gdzieindziej djamenty. Dzicy mieszkańcy na tych przestrzeniach nie mają pojęcia, co to jest kamień. Gdy pewnego razu kilku z nich przybyło w takie okolice, gdzie kamień nie był rzadkością i ujrzało po raz pierwszy kamienie, to zdumieli się ogromnie na ich widok, podnosili je i obładowywali się nimi, jak wartościowemi skarbami. Tak powszednieją nam rzeczy, na które codziennie patrzymy, a które w innych warunkach wywołałyby nasze zdumienie.

## Mężczyźni i kobiety.

W Europie na 1000 mężczyzn przypada 1024 kobiet. Inaczej jest w innych częściach świata. W Azji na 1000 mężczyzn przypada 958 kobiet, w Ameryce 973, w Afryce 968, w Australji tylko 822.

## Kichanie to rzecz zdrowa.

W paryskim instytucie hygjeny odbył się w tych dniach wykład o chorobach, wynikających z powodu przeziębienia. Po tym wykładzie odbyła się bardzo żywa dyskusja, dotycząca kichania. Poruszono mianowicie sprawę, czy w towarzystwie należy kichania unikać, jako rzeczy nieprzyzwoitej, lub też nie. Autor wykładu wypowiedział pogląd, że kichanie jest rzeczą nadzwyczaj zdrową, której nie wolno zaniechać dod żadnym pozorem.

Mimo to pośród publiczności odezwały się głosy przeciwko kichaniu, gdyż przez kichanie przenosi się zarazki na obecnych; zresztą i względy estetyczne przemawiają przeciw kichaniu.

Te uwagi nie zyskały jednak zgody większości obecnych, toteż zgromadzeni na odczycie postanowili zachować swobodę kichania nawet w teatrach i na koncertach.

**Ostrzeżenie!**

Ktoś, zapewne w celach nieuczciwych, rozpuścił pogłoskę, że zbieram zgłoszenia do wojska amerykańskiego. Dotychczas zgłosiła się z tą prośbą dość wielka liczba ludzi, bądź pisemnie, bądź też osobiście. Ogłaszam przeto, iż pogłoska ta mija się zupełnie z prawdą i nigdy nie werbowałem do żadnego wojska obcego państwa. Wszelkie przeto podobne zgłoszenia pozostaną bez odpowiedzi.

*Tadeusz Łubieński.*

**Za zmianę adresu należy się 40 groszy.**

## Odpowiedzi Redakcji.

Redakcja nie przyjmuje listów nieopłaconych i poczta odsyła je z powrotem.

Pp. **Jakób Cichoń** w P.: Powieść pt. „Wśród puszcz i stepów“ jest tłomaczona z języka angielskiego. Skracając niektóre powieści, wyrzucamy wszystko, co tam jest zbyteczne, a pozostawiamy tylko to, co jest najbardziej interesujące. Inaczej niektórych powieści nie moglibyśmy ukończyć nawet w przeciągu roku. — **Antoni Frączek** w P.: Druk powieści p. t. „Tajemnica na dworze królewskim“ ukończymy w następnym numerze „Roli“, poczem rozpoczniemy drukować nową powieść. — **Edward Cygan** w B.: Wierszyk p. t. „Precz ze starzyzną“ nie do druku. Jest on w formie nieudolny, a co do treści ochydny. Jakżeż można pomiatać starszymi, którzy lata całe na tej ziemi pracowali. Owszem obowiązkiem naszym jest szanować starszych, jeżeli sami chcemy być kiedyś szanowanymi. — **Marysia Szelążanka** w W.: Szkoda, żeście się nie poznali z Maciusiem, bo on choć na kobiety wygaduje, ale panienki ogromnie lubi, zwłaszcza wiejskie, gdyż twierdzi, że te jeszcze nie są całkiem zepsute. Owszem, w czasie pobytu w Krakowie prosimy odwiedzić Redakcję, to się Maciek nieboracek ucieszy. — **Lichański** w P.: Podawanie wygranych na loterji byłoby niejako zachętą dla Czytelników do grania na loterji, a my jesteśmy przeciwnikami wszelkich gier, które wyciągają ludziom pieniądze z kieszeni. Najlepszy pieniądz zdobyty pracą. — **Józef Kapuściński** w L.: Artykulik p. t. „Dziwy w świecie“ jest rzeczywiście bardzo ciekawy, więc zamieścimy go w jednym z najbliższych numerów. Opisane jednak zdarzenia uważamy raczej za ciekawy zbieg okoliczności, aniżeli za jakieś przepowiednie. — **Aniela Sosnowska** w P.: Szkoda, że nadesłanego wierszyka umieścić nie możemy, gdyż jest on cięty, ale cóż kiedy posiada usterki w rymie i rytmie. — **Sikora-Sikorowicz:** Wierszyki schowaliśmy do teki —w miarę miejsca zamieścimy je. — **Franciszek Waniołka** w I.: Wymienioną powieść dostanie Pan w księgarni Czerneckiego w Krakowie (Rynek). — **Franciszek Chmiel** w P.: Warto popracować, bo choć obecnie nadesłane wiersze nie nadają się jeszcze do druku, to późniejsze mogą być wcale dobre. — **Juljan Zaborski** w O.: Gdybyśmy stale zamieszczali artykuły, o których Pan pisze, „Rola“ zmieniłaby swój dotychczasowy charakter.

## Giełda płodów rolniczych

z dnia 8 lutego b. r.

| | | | |
|---|---|---|---|
| Pszenica . | 52·00—53·00 | Słoma długa | 5·50— 6·50 |
| Żyto . . | 41·00—42·00 | Ziemniaki stoł. | 0·00—00·00 |
| Owies . . | 31·50—32·00 | Koniczyna nasienn. czer. | 480·00—500·00 |
| Jęczmień . | 34·00—35·00 | | |
| Groch zwyk. | 48·00 - 52·00 | Mąka pszen. | 91·00—92·00 |
| Fasola biała | 53·00—57·00 | Mąka żytnia | 64·00—64·50 |
| Łubin żółty | 31·50—32·50 | Otręby żytnie | 26·00—27·00 |
| Siano słodk. | 11·00—12·00 | Otręby pszen. | 26·00—27·00 |
| Koniczyna . | 14·00—16·00 | Pęcak zwycz. | 50·00—51·00 |

Ceny rozumieją się za towar średniej handl. jakości za 100 kg.



# Zagadki do nagrody.

### 1. Logogryf.

(Ułożył Florjan Ciebiera z Rz.)

■ ☆ ☆ ☆ ■ Inaczej tak.
■ ☆ ☆ ☆ ■ Wspak małe wzniesienie.
■ ☆ ☆ ☆ ■ Cesarz rzymski.
■ ☆ ☆ ☆ ■ Służy do gry.
■ ☆ ☆ ☆ ■ Zwierzę dom. w II. p. l. m.
■ ☆ ☆ ☆ ■ Domy wiejskie.
■ ☆ ☆ ☆ ■ Rodzaj huśtawki.
■ ☆ ☆ ☆ ■ Kwiat.
■ ☆ ☆ ☆ ■ Służy do szycia.
■ ☆ ☆ ☆ ■ Gatunek zboża.
■ ☆ ☆ ☆ ■ Bitwy.
■ ☆ ☆ ☆ ■ Rzemieślnik.
■ ☆ ☆ ☆ ■ Inaczej sześcian.
■ ☆ ☆ ☆ ■ Inaczej brali.

Litery początkowe i końcowe, czytane z góry na dół dadzą dwa imiona i nazwiska poetów polskich.

### 2. Szarady.

I.

(Ułożył Jan Piwowoński).

Pierwszą znajdziesz w abecadle, lecz [w obcym języku,
Jeśliś ciekaw, to poszukaj miły czytelniku.
Drugą, drugą, gdy wesoło, to sobie śpie- [wają,
Lub dziewczynkom, gdy są grzeczne w u- [pominku dają.
Na całość się cały tydzień niecierpliwie [czeka,
Całość wreszcie jest podporą niejednego [człeka.

II.

(Ułożył Wojciech Ciepiela z B.).

Pierwsza z wiosną rzeką płynie,
Trzecie są chętnie używane w zimie,
W każdym ubraniu zaś drugi znajdziecie.
Ładne to ptaki są pierwsze i trzecie.
Całość, to wielki pisarz, znany także [z „Roli“,
Który nam dusze krzepił w złych latach [niewoli.

III.

(Ułożył Frnnciszek Macioł).

Kiedy was w boku pierwsze i trzecie,
Wtenczas nieznośne bóle czujecie.
Drzewo czy małe, czy też i długie,
Zawsze je kryje pierwsze i drugie.
Całość się w głębi morza zaczyna
Nosi je chętnie każda dziewczyna.

### 3. Zagadka.

(Ułożył Antoni Frączek z P.).

Wprawdzie nie tak się zaczyna
Ale bo się kończy,
A zawsze jest bez końca
Ale wraz jest to kraina,
Kiedy szukać tam będziemy
To znajdziemy Ojca.

### 4. Przestawianka.

(Ułożył Władysław Bienias).

Two, mo, wie, ba, czy, je, trze, do, dziś, jak, cię, tyl, wie, stra, two, o, wi, o, ję, kto, tej, dzę, pi, li, ja, zdro, ten, cię, le, ce, ko, cił, wca, bie, su, tę, po, bie, zno, steś, nić, pię, oj, ty, i, się, kność, zdo, i, bo, sknię, to.

Z podanych zgłosek ułożyć początek dzieła jednego z wielkich poetów polskich.

Termin nadsyłania rozwiązan upływa dnia 19 b. m.

Znaczenie zagadek z Nru 5 „Roli“: Logogrvf: Kaśka Myrdalonka. Zagadki: 1. Ul, 2. Lichwiarz. Szarady: 1. Szarada, 2. Myśliwy. Przestawianka: Bóg wiara, sen mara.

Dobre rozwiązanie wszystkich zagadek w oznaczonym czasie nadesłali pp.: Jan Patulski z S., St. Jachowicz z G, Stanisław Nowak z K., A. Tworek z S., Regina Starzewska z K., Stanisław Broniewski z M. Sz.

Inne rozwiązania były błędne, podawano bowiem znaczenie drugiej zagadki: nędza, głód, mróz i t. p., zaś pierwszej: stodoła, wiatr, łóżko, lokomotywa i t. p.

Nagrody wylosowali pp.: Regina Starzewska i Jan Patulski.

Wydawca: Feliks Kowalczyk. Odpowiedzialny Redaktor: Antoni St. Bassara.
W drukarni »Czasu« w Krakowie pod zarządem Leopolda Wójcika.

## Z tropu niezbity.

— Proszę pana — mówi do aptekarza sklepikarz niepokojony przez szczury — trucizna, jaką u pana przed miesiącem kupiłem, okazała się zupełnie bezskuteczna.

— Jakto? — woła oburzony sprzedawca — musiałeś pan nie postąpić z nią tak, jak poleciłem. Czyś ją posmarował na chleb?

Tak jest.

— Łyżeczką od kawy?

— Nie inaczej.

— I porozrzucał kawałki chleba po pokoju?

— Ależ tak.

— I pokój zamknął szczelnie na dwa spusty?

— Zupełnie według wskazówki pańskiej.

— W takim razie — dodaje zniecierpliwiony, ale niezbity z tropu aptekarz — pańskie szczury są do niczego.

## W sądzie.

Sędzia: Więc przyznajesz się do winy? Czy masz przynajmniej jakie wyrzuty?

Podsądny: Nie mam panie sędzio! Miałem dawniej, ale mi już całkiem zeszły od maści!

## Także praca.

Gospodarz: No! wstawaj próżniaku!

Parobek: Oj, la Boga, kiedy jestem zmordowany!...

Gospodarz: Jakto zmordowany? przecież całą noc chrapałeś.

Parobek: Ale mi się śniło, żem dwa sągi drzewa porąbał...

## Pomysłowy wybór.

Sędzia: Macie więc do wyboru, Wojciechu Kłonico: 10 złotych lub trzy dni więzienia.

Oskarżony: Ano, kiej już pan sędzia tak łaskaw, to prosiłbym o te 10 złotych.

## Dość długo!...

Gospodarz: Czemu cię ze służby wygnali?

Parobek: Bom się dwa razy upił.

Gospodarz: A długoś tam służył?

Parobek: Dwa dni.



Rozszerzajcie „Rolę"
Ile macie siły,
By jej słowa kraj nasz cały
Corychlej zwiedziły.

**Prosimy o wyraźne i dokładne pisanie adresów, szczególnie ostatniej poczty.**